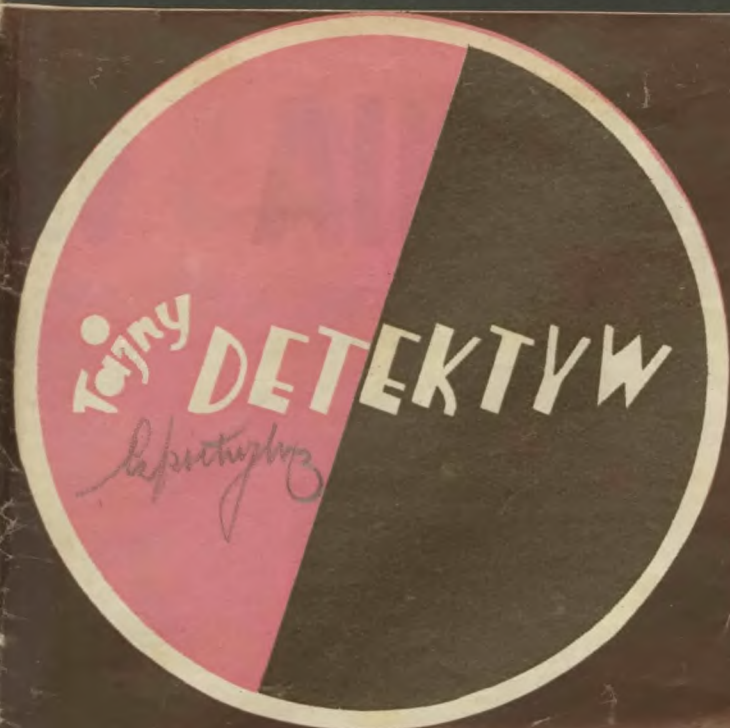




Narkomani Reportaż wewnątrz numeru.

Nr. 9

25 LUTEGO 1934 roku.
Rok IV. Cena 30 groszy.
W Czechosłow. Kc. 1'20



Na lewo: Franciszek Beben, właściciel młyna, dzierżawionego przez Herszbergową. — U góry: Komisja sądowo-lekarska, stoją od prawej: dr. Rosenbaum, sędzia Lichoniewicz, szef prokuratury Łukawski, dr. Obrata prokurator. — Na prawo: Tędy wtargnęli bandyci do pokoju denatki.

ZBRODNIA W BŁĄŻOWEJ.



Na lewo: Porozbijane stoły w pokoju syna Herszbergowej.

U góry: Pokój Herszbergowej po napadzie.

Na prawo: Stanisława Warzybochówna, która ostatnia widziała żyjących Herszbergów.



STANISŁAW SZCZĘSŁAWICZ
em. naddzielnik Zakładu kary.

OMYŁKI SĄDOWE.

5) 1) że lekarze sądowi podczas przewodu sądowego nie badali wcale stanu umysłowego Zaborowskiego, wskutek czego nie wiedzieli, że tenże był epileptykiem;
2) że w aktach sądowych nie było aktu stwierdzającego, że rzeczoznawca-rusznikarz wojskowy otrzymał do badania ten sam karabin, z którego padł strzał;
3) że orzeczenie wykluczające wypadek było bardzo pobieżne i nie wyczerpujące;
4) że wedle zeznań s. p. Pileckiego oraz naocznych świadków strażnika Drohomireckiego Zaborowski w chwili strzału trzymał karabin w prawej ręce w pozycji „in die Balanz”, t. j. lufą do góry;
5) że ani w toku śledztwa ani podczas rozprawy głównej nie ustalono pod jakim kątem nachylenia padł strzał.
Tych 5 faktów musiałem zbadać dokładnie, by nabrać przekonania, czy Zaborowski był winien zbrodni morderstwa, czy też zaszedł tylko wypadek z bronią.
Z opowiadania brata skazańca, którego ani sędzia śledczy, ani też rzeczoznawca lekarz przed rozprawą nie przesłuchał i którego nawet podczas rozprawy przesłuchać nie chciało, wynika, że Zaborowski miał ataki epileptyczne już w młodych latach. W akcie osobowym skazańca znalazłem adnotację lekarza zakładowego, iż Zaborowski w celi więziennej miał atak epilepty-

Rzeszów
(od naszego korespondenta).

W czwartek przedpołudniem dnia 15 bm. opowiadali w Rzeszowie ludzie ze zgrozą nieprawdopodobną wprost w swej potworności wiadomość o morderstwie dokonaniem w Błażowej, miasteczku oddalonem na południe od Rzeszowa o 24 km. Rozmiary zbrodni w kradzieży płocie olbrzymiały z chwili na chwilę. Mówiono o trzech — pięciu — ośmiu ludziach, którzy padli ofiarą bandytów, o tysiącach dolarów zabranych przez sprawców, o pozostawieniu przez bandytów na miejscu czynu zapowiedzi dalszych zbrodni, o panice, jaka ogarnęła całą okolicę na ludność.

Wypełniając swój dziennikarski obowiązek, pospieszył Wasz korespondent natychmiast na miejsce czynu, a co tam stwierdził, usprawiedliwiało w zupełności przesadzone nieco co do liczby ofiar wieści.

Na miejscu w Błażowej Dolnej.

Dojeżdżam do Błażowej. Dwa kilometry przed miasteczkiem od strony Rzeszowa rozciąga się przysiółek zwany Błażową Dolną. Wygląda on tak: na pagórkach (Błażowa leży już na Podkarpaciu) rozsiadły się rzadka na szerokiej przestrzeni strzechy wiejskie. Przed nimi tuż przy gościńcu szeroki budynek parterowy, opierający się z tyłu na niezamieszkałym murem, mieszczącym w sobie sztalnię i na przylegającym do niego młynie motorowym Franciszka Beben.

Przed budynkiem większa grupa ludzi, przyglądających się w milczeniu gorączkowemu krzątaniu się funkcjonariuszy policyjnych. Do wnętrza nie wpuszczają nikogo. Mnie otwiera drogę legitymacja dziennikarska.

Duża mroczna siena, zaparta potężnymi debowami oddzielnymi, prowadzi naprzeciwko domu i napotyka z drugiego końca na takie same oddziały, otwierające się tylko w wypadku przejazdu fur, składających w sieni wory z mąką lub zbożem. W sieni wory z mąką, jakieś skrzynie z towarami, czy też po

towarach, drzewo w sagach, komórka na drób i olbrzymi wilezur na łańcuchu przytwierdzonym do budy wpuszczonej w ścianie.

Wechodzę do pokoju. Niska izba z ubitą z gliny podłogą. Okna aż do górnych kwater zabite deskami i zasypane trocinami. Czyżby z obawy przed nieproszonymi gośćmi? Przez pozostawione u góry nallatkie okienka, ledwie, ledwie sączy się trochę światła.

Po dobrej chwili dopiero oswaja się wzrok z panującym mrokiem. W rogu szafka ścienna z podstawianiem w równych szeregach księgami hebrajskimi, dookoła otwarte skrzynie z mąką. I gdyby nie stół na środku izby z powyciąganymi szufladami i wyrzuconą z nich zawartością, niebyłoby świadectwem o tem, że się tu coś stało.

Ofiary.

To samo w drugiej izbie. Tylko tam w kącie na łóżku zakryty pierzyną w czerwone pasy spoczywa stary żyd z brodą. Leży spokojnie — głowa wglębiona w poduszkę. Pościel nieruszona. — Spi.

Obok łóżka leżą zwłoki z równo wyciągniętymi nogami, obutymi w niezasnurowane bućki. Polyszcza równo ułożone, a wzdłuż nich starannie na ziemi ułożone ręce. Tylko w lewej skroni mały otwór, przez który uszło życie.

Przechodzę dalej, znajduję się w małym wiejskim sklepie. Na półkach i ladzie w porządku ułożone towary w różnokolorowym opakowaniu. Panuje taki ład, że przy wejściu do przylegającego pokoju doznaje się wstrząsu. Musiałem się mimowolnie cofnąć od progu.

Przeżywczejac pierwsze wrażenie, przestępuję próg. Zatrzymują mnie słowa, prowadzących śledztwo:

„Proszę się zatrzymać przy drzwiach i nie dotykać niczego — można uszkodzić ślady.

Rozglądam się dookoła. Okna w tym pokoju duże, zasłonięte ładnymi firankami. Pod jednym oknem na stole wazonik z kwiatami. Podłoga drew-

niana, lakierowana na brązowo. Znać dostatek. Na środku pokoju — zgroza! — Porozrzucone poduszki, porozbijane szafy, wyciągnięte szuflady, a cała zawartość rzucona na ziemię. Cała podłoga zarzucona.

Naprzeciw szafy i drewnianej kanapki leży skulone ciało kobiety...

Co mówią sąsiedzi?

Nie chcąc przeszkadzać, zrobilem szybko dla Redakcji zdjęcia fotograficzne i wyszedłem do miasta celem zasięgnięcia języka.

U wstępu do miasta stoi wikarówka. Przypomniałem sobie, że mieszka tu od kilkunastu lat ksiądz katecheta Ignacy Bocheński, kolega z ławy szkolnej. W nadziei otrzymania jakichś bliższych szczegółów o ofiarach, wstąpiłem na wikarówkę. Ksiądz Bocheńskiego niestety nie zastałem, gdyż wyjechał z proboszczem na odpust do Futomy, pobliskiej wsi. Przyjął mnie bardzo sympatyczny i miły wikary ks. Ziobro, który, dowiedziawszy się ode mnie, że chodzi tu o Kurjerka, dał mi chętnie wszelkie wyjaśnienia.

Dowiedziałem się od niego, że ofiarami są 62-letnia Marjem Herszbergowa, zwana popularnie „Marjanką”, jej 30-letni syn Samuel Herszberg, oraz szwagier 72-letni Judka Geiger, dzieciemniły starzec, przechodzący często rynkiem Błażowej. Ludzie lubili sobie wówczas z niego pokpiwać.

„Wi. gajts, Judka?”

Na co on zawsze bez związku odpowiadał:

„A git jontef”.

Stara Marjanka miała jeszcze w samym mieście Błażowej kamieniczkę, którą niedawno kupiła. — W kamieniczce tej mieszkało dwójce jej młodszych dzieci, 20-letnia Fryneta i 25-letni Ozjasz.

Ozjasz był talmudystą i całemi wieczorami przesiadywał nad księgami. Rano chodził do matki pomagać jej w sklepie. Okoliczność, że nie mieszkali w mieście uratowała im życie.

Marjem prowadziła przed laty karcznię. Zach-

dził do niej często na herbatę sąsiad jej, właściciel młyna stojącego tuż za karczmą, Franciszek Beben, dzwigający na barkach siódmy już krzyżyk. Otrzymując od Marjanki mądre rady w interesach, nabrał do niej takiego zaufania, że oddał jej w zarząd cały młyn. Herszbergowa zwinęła wówczas karcznię i przy sprzyjającej wówczas konjunkturze na zboże, dorobiła się znacznego majątku. Zakupiła wówczas domek w miasteczku i jak słuchy chodzily, odłożyła dla córki posag 2.000 dolarów, rozpozyczyła pieniądze wśród ludzi, zachowując jednak również w domu sporą sumkę.

Dnia 15 bm., baby wiejskie, przechodzące do miasta, dziwiły się, że ten czwartek jakiś dziwny. Niby to żydowskie święto i nie święto. Jedni świętują, a drudzy nie. Zapytane, czego tak mówią:

„Idziemy do miasta, a u Marjanki zamknięte. Pownikiem święta żydowskie. Przechodzimy do miasta — sklepy otwarte...”

Okolo 8-mej dowiedział się o tem syn Ozjasz. — Tknęty złem przeczuć, pobiegł do domu matki. Zastal na gluchozabite okiennice, a w domu śmierć.

Miał na tyle przytomności umysłu, że nie mówiąc nikomu, pobiegł na posterunek. Przybyli natychmiast policjanci i zabezpieczyli ślady. Mało ich bardzo. Policja stanęła przed bardzo trudnym zadaniem. Te jednak, które zostały, zapewne wystarczą naszej dzielnej Policji w zupełności do wykrycia i ujęcia sprawców.

Na miejscu czynu zjawili się natychmiast zastępcy starosty p. Tadeusz Gadomski, obecny szef prokuratury przy Sądzie Okręgowym w Rzeszowie p. Bronisław Łukawski, biorący osobiste udział w śledztwie, komendant powiatowy P. P. kierownik wydziału śledczego i wywiadowcy z Rzeszowa.

Już przedwstępne dochodzenia uwięzione zostały pomyślnymi wynikami. Ze względu na dobro śledztwa nie możemy ich obecnie wyjawiać. Należy się spodziewać ujęcia sprawców w najbliższym czasie.

E. Faust.



zupelnie naciągnięty...” — nie było wyczerpujące i zupełnie błędne w twierdzeniu, że do ściągnięcia kurka potrzeba było znaczącej siły i że „wobec tego wypadek był wykluczony”... — Do ściągnięcia kurka wystarczyła siła nawet małego chłopca.

Jedynymi świadkami naoczni przy strzale byli s. p. Pilecki oraz nadstróż Drohomirecki, a ci zeznali stanowczo, że Zaborowski do strzału wcale się nie składał i że trzymał w tej chwili karabin w prawej ręce lufą do góry. Zaborowski służył 10 lat w Straży skarbowej i wiedział, że chcąc kogoś trafić kula z karabinu, nie trzyma się go w jednej ręce lufą do góry. — Oprócz tego ustalono zeznaniami świadków tych dwu naocznych świadków i protokołem sekcji, że strzał padł z odległości zaledwie jednego kroku. Gdyby Zaborowski nosił się był z zamiarem zastrzelenia s. p. Pileckiego, byłby oddał strzał z odległości co najmniej kilku kroków choćby dlatego, aby sobie ułatwić ucieczkę.

Obaj naoczni świadkowie nie twierdzili bynajmniej, że Zaborowski strzelił do Pileckiego, lecz podali, że w chwili, gdy tenże stanął przed Pilekim w odległości jednego kroku, padł strzał.

Mimo to akt oskarżenia zarzucał Zaborowskiemu, że zastrzelił Pileckiego, dopuszczając się zbrodni morderstwa. Prokurator opierał się na plotkach oraz na korespondencji w Dwutygodniku Straży Skarbowej z 16 maja 1900 r. mimo, że autora tej korespondencji ani w toku śledztwa ani podczas rozprawy nie przesłuchano.

Najmniej uwagi poświęcił bardzo ważnej kwestii, rozwiązującej cały problem wypadku, t. j. kwestii, pod jakim kątem nachylenia padł strzał pomimo, że kwestie ta omówił już protokół sekcji chociaż bardzo balałutnie.

W protokole tym podał lekarz, jak to sobie do- kładnie zapamiętał, że sekcja odbyła się 8 maja 1900 r., a więc w 4 dni po śmierci s. p. Pileckiego, że

jelita były wypełnione gazami, wobec czego sądzi, że także brzuch nieboszyka musiał być wzdęty. W dalszym ciągu stwierdza protokół sekcji co następuje: strzał padł z odległości bliskiej. Kula weszła na wysokości 2 cm. poniżej ostatniego zebra, przebiła cokolwiek i wyszła nie naruszając kości na wysokości kości biodrowej i to jest kąt nachylenia, pod którym oddany był strzał. Jest ogólnie wiadomem, a więc i lekarzom, że kąty oznaczają się jedynie w stopniach, a nie zapomocą samych opiwów anatomicznych i dlatego sędzia śledczy powinien był zażądać, by lekarz oznaczył ten kąt nachylenia w stopniach, gdyż tylko takie ustalenie mogło dać prokuratorowi i sędziom przysięgłym wyobrażenie o sytuacji, w jakiej w tej tragicznej chwili znajdowali się tak strzelający jak i jego ofiara.

Otóż przy pomocy atlasu anatomicznego ustalilem, że kąt nachylenia wynosił według opisu w protokole sekcji około 45 stopni. Wymiar s. p. Pileckiego był w tym protokole również podany, zaś wymiar Zaborowskiego w jego rysopisie. Obaj byli równego wzrostu, t. j. około 180 cm. Posiadałem również wymiary karabinu kawalerskiego systemu Werndla, którym uzbrojono Pileckiego i nadstr. Drohomireckiego prowadziła pod górę.

Wyrysowałem zatem dwie postacie pomniejszone proporcjonalnie w odstępie jednego kroku od siebie, twarzami ku sobie zwrócone, a następnie lufę karabinu w położeniu podanem w protokole sekcji. Okazało się z tego rysunku, że Zaborowski byłby musiał mierzyć do Pileckiego, trzymając karabin ponad swoją głowę, coby tak Pilecki jak i jego towarzysze musieli zauważyć i w pamięci zachować.

Rysunek ten przekonał mnie, że sytuacja była zupełnie inna. Oto s. p. Pilecki zeznał, że gdy padł

strzał, zawołał do Zaborowskiego: „tyś mnie zabił”, a następnie obaj rzucili się na Zaborowskiego, wyrwali mu karabin z ręki i wyrwali szabie z pochwy, a następnie dobywszy własnych szabel, natarli na niego, kierując cieciami w jego głowę. Z tego opisu i z faktu, że Zaborowski trzymał karabin w jednej ręce, doszedłem do przekonania, że strzał spowodował sam s. p. Pilecki. Oto spostrzegłszy, że Zaborowski jest pijany i wysoce rozdrażniony, a znając jego naturę z poprzednich awantur w służbie, obawiał się, by nie zaszedł wypadek z karabinem i chywył za lufę, chcąc mu broń odebrać, wyrwać karabin z ręki. Zaborowski widocznie opierał się temu w pierwszej chwili, a obsunawszy rękę do wysokości cingla, spowodował fatalny strzał. S. p. Pilecki stał na pochyłej drodze wyżej, więc przy tem szamotaniu się, musiał się ku Zaborowskiemu nachylić i w tem położeniu dostał kule. Gdy trupa ułożono przy sekcji na stole w pozycji poziomej, punkt wejścia kuli znalazł się wyżej od punktu wyjścia kuli i stał owo orzeczenie, że „nachylenie kierunku strzału szło od górnej części ku dolnej”, podczas gdy w rzeczywistości strzał padł w kierunku poziomym, a nawet raczej w kierunku ku górze, a deformacja trupa wskutek wzdęcia gazami, spowodowała dalszą dezorientację co do kąta nachylenia, pod którym padł istotnie strzał.

Narzuca się tu pytanie, dlaczego ani s. p. Pilecki, ani Drohomirecki nie podali, że strzał padł w czasie, gdy Pilecki próbował odebrać Zaborowskiemu karabin. Przypuszczam, że Pilecki zapominał o tym fakcie pod wpływem przestachu, tak samo jak nie pamiętał o tym epileptyk Zaborowski, zaś Drohomirecki mógł nie zauważyć chwytu za lufę karabinu, jeżeli miał w tej chwili wzrok zwrócony w inną stronę, a gdy usłyszał strzał, Pilecki już nie miał lufy w ręku. Tem się tłumaczy fakt, że żadna z tych trzech osób obecnych nie zeznała przed sędzią śled-

czym nie o tej fatalnej próbie Pileckiego rzeźbienia Zaborowskiego.

W czasie, gdy byłem zajęty rozważaniem tej kwestii, otrzymałem raport lekarza zakładowego o śmierci w nocy jednego z więźniów w szpitalu zakładowym. Powiadomiłem lekarza o treści protokołu sekcji trupa s. p. Pileckiego i prosiłem go, by dla próby oznaczył na trupie zmarłego więźnia atramentem punkt, w jakim kula trafiła s. p. Pileckiego. Od tego punktu pociągnąłem potem sam linie (atramentem) w miejscu, w którym kula trafiła Pileckiego i od tego miejsca pociągnąłem atramentem ku dolowi trupa więźnia prostopadłą linie. Było to w porze letniej, więc można było przypuścić, że w ciągu dwu dni nastąpi wzdęcie trupa (więźnia zmarłego teraz) wskutek gazów i że linia nakreślona na ciele tego trupa przesunie się, że linia ta pochyliła się trochę ku górnej części ciała.

Przyszedłszy w ten sposób do przekonania, że Zaborowski padł ofiarą tragicznej pomyłki sądowej, zebrałem wyniki moich obserwacji i rozważań w obszernym elaboracie i oddałem to adw. Dwernickiemu, do którego wysłałem następnie brata skazańca p. Emila Zaborowskiego. Akta odesłałem do sądu.

We wrześniu 1907 r. wniósł adw. Dwernicki do Sądu Obwodowego (ówczesna nazwa Sądu Okręgowego) w Tarnopolu prośbę o wznowienie, pozwalając się jedynie na fakt stwierdzenia epilepsji. W styczniu 1908 r. zarządził sąd tarnopolski zbadanie stanu umysłowego Zaborowskiego we lwowskim Zakładzie Karnym przez psychiatrów dra Kruszyńskiego i Chomina, którzy orzekli stanowczo, że Zaborowski w chwili popełnienia czynu nie był poczytalny, że jest dziedzicznie obciążony alkoholikiem i epileptykiem.

(Dokończenie nastąpi).

Na prawo: Ostatni dzień karnawału... Młodzież przebrana w maski przebiega ulicami miasta...

wywołał feljeton Zygmunta Nowakowskiego, umieszczony w „I. K. C.” p. t. „Podkoziółek”. Było to w związku z uchwałą o nowej pisowni polskiej i Zygmunt Nowakowski wyśmiewał niedwuznacznie samo słowo „podkoziółek”, dotąd mu nieznane. — Autor tego reportażu, zajął wówczas również głos na łamach „I. K. C.”, podając dokładny zarys historyczny tradycji podkoziółka na Kujawach. Polega on na tym, że chłopak przebrany za koze, okryty białym prześcieradłem i trzymający w ręce głowę kozy, wyczynia różne figle, którym przypatrują się przechodnie, darząc przebranych datkami, z których następnie urządzają sobie chłopcy skromne zabawy.

krwi, z raną postrzałową w głowie, młodego chłopca, który daje słabe oznaki życia. Ciężko ranę odniesiono natychmiast do pobliskiego szpitala powiatowego. Na miejsce zbrodni przybyli funkcjonariusze policji śledczej z przodownikiem Nowackim na czele, prowadząc dochodzenia. Znalazłem się między nimi. — To, co usłyszałem z ust naocznych świadków tej potwornej zbrodni, wstrząsnęło mną do głębi. Zapomniałem o karnawale i o tradycyjnym „podkoziółku”. Rozegrała się tutaj potworna scena, jakiej dotąd kroniki policyjne w Inowrocławiu nie notowały.

dzy o los kochanego Stasia. — Dwu z nich poszło w ślad za nimi. Rokicki prowadził Gościńską głównymi ulicami miasta i wreszcie powrócił na ulicę Plebanek, przystając na chwilę opodal kościoła Matki Boskiej. Rozmowy ich dosłyszeć nie było można. Koledzy wyczuili jednak, że Stasio pragnął wyrwać się z towarzystwa Rokickiego, podejrzewając go o zbrodnicze zamiary, wrodzona grzeszność nie pozwoliła mu jednak tak z miejsca uciec od kolegów. Wiedział on jednak również, że Rokicki jest typem zwyrodnialca, dla którego życie nie ma żadnego znaczenia i słyszał słowa Rokickiego, kiedy ten chwalił się, że „musi wypróbować jak działa jego browning”. Ulica Plebanek znajduje się na ustroju, po jednej i drugiej stronie ciągną się ogrody i stary cmentarz. Rokicki rozejrzał się wokół. — Nie widząc nikogo w pobliżu, gdyż śledzący ich koledzy ukryli się za parkanem, wyciągnął błyskaw-

Po zabawie — zbrodniarz zgłasza się na policji.

Tragiczny strzał usłyszał również przechodzący opodal ulicą Toruńską szofer taksówki nr. 12 Bogucki i puczył się natychmiast za Rokickim w pogon. Obserwujący całą scenę koledzy Gościńską zawiadomili natychmiast komisariat P. P. Po ulicach miasta rozpoczęła się gonitwa za młodocianym zbrodniarzem, którego trudno było ująć, gdyż zauważony przez policję mieszał się z tłumem. Wreszcie zdołał zmylić ślad i wpadł zpowrotem do „Młyna”, gdzie przez półtora godziny brał udział w zabawie karnawalowej, urządzonej przez jedną z tamtejszych „wesółych lokatorek”. Wszyscy wiedzieli tutaj o jego zbrodni, lecz nietylko że nie ujęto go, ale usiłowano mu nawet pomóc zbiec przed pościgiem policji. Tutaj ponownie go wreszcie, by sam zgłosił się na komisariat policji i zawiadomił, że Gościński popełnił samobójstwo.

Tak też Rokicki uczynił. Około godz. 12 w nocy przybył sam, już bez browninga, na komisariat i maskując zupełnie obojętną minę udawał, że przy-

był tylko w tym celu, by zawiadomić o samobójczym czynie Gościńskiego. Rokicki nie wiedział bowiem, że potworna zbrodnia jego miała świadków. Policja jednak o wszystkim była już poinformowana. Aresztowano go natychmiast.

Znalezionego w kałuży krwi biednego Stasia przewieziono do szpitala pow., znajdującego się w pobliżu i tutaj lekarze stwierdzili, że stan jego jest beznadziejny. Według opinii lekarzy, biedny Stasio stracił wzrok na zawsze i gdyby nawet endem pozostał przy życiu, to władze jego umysłowe nie będą funkcjonowały normalnie. Przez kilka pierwszych dni Stasio leżał nieprzytomny na łóżku. Bolesne jęki przerywały od czasu do czasu szpitalną ciszę. Całymi dniami obok łóżka siedział jego chory, smutny ojciec, wpatrzony pełnym rozpacz wrokiem w swoje dziecko. — Bestjańska zbrodnia Rokickiego nie ma sobie równej. Zbrodnia Rokickiego zwróciła również pełną uwagę całego miasta na ten dom zgrozy, który pospolicie „Młynem” nazywają.

Rokicki według wszelkiego prawdopodobieństwa odpowiadać będzie przed sądem doraźnym. W więzieniu zachowuje się zupełnie spokojnie i ma się wrażenie, że nawet w najmniejszym stopniu nie zdaje sobie sprawy z całej chydry swego czynu. Sprawą sądową wyprowadzi prawdopodobnie na światło dzienne również inne szczegóły życia lokatorów „Młyna”.

Henryk Lisiecki.

Na lewo w owalu: Kościół Matki Bożej w Inowrocławiu. (x) miejsce na ul. Plebanek, gdzie Rokicki popełnił zbrodnię.

„DJABELSKI

MLYN”

Powyżej w owalu: Sąd grodzki w Inowrocławiu. Tutaj osadzono w areszcie śledczym Rokickiego.

Powyżej: Stanisław Gościński na łóżku szpitalnym. Obok niego siedzi jego ojciec.

Na lewo: Stanisław Gościński, młodociana ofiara Stefana Rokickiego, bezlitosnego mordercy.

Podobnie w tym roku chodzili po ulicach miasta grupy przebranych chłopców z kozą na czele, a między nimi jako przebrany za kanoniera uwijał się 17-letni sprzedawca gazet Stanisław Gościński. Był to ostatni bodaj dzień jego życia.

Okolo godziny 9-tej wieczorem Gościński przybył w gronie rozbawionych chłopaków do t. zw. „Młyna”, gdzie zamieszkują eksmitanci i bezrobotni. — Dawniejszy młyn firmy „Kwilecki-Potocki”, przerobiony prowizorycznie na dom mieszkalny, ma w mieście jaknajgorszą opinię. Zamieszkiwany jest przez kilkadziesiąt rodzin oraz dziesiątki co najgorszych rzezimieszków i przestępców. Tutaj rodzą się wszelkie zbrodnie. Tutaj powstają plany krwawych wypraw w okolice. Władze policyjne toczą ciężką walkę z przestępcami gromadzącymi się tutaj z całej okolicy. Nie to jednak nie pomaga. Każdy zakątek, w sieni i na schodach, odgradzony łachmanami, stanowi mieszkanie nędzarzy, a często kryjówkę zbrodni. Domy takie, to pozostałość czasów powojennych, to widoczny znak obecnej nędzy mieszkaniowej i tragiczny finał nekającego nas kryzysu.

Biada młodym chłopakowi, który dostał się w środowisko gromadzących się tutaj metów. Wyżuty zostanie z wszelkiej moralności, traci wiarę i poczucie człowieczeństwa.

Chłopiec z „Djabelskiego młyna”.

Potworna zbrodnia dokonana w ostatnim dniu karnawału na ulicy Inowrocławia zwróciła znowu uwagę wszystkich mieszkańców naszego miasta na ten fatalny dom, położony w centrum miasta.

We wtorek, dnia 13 lutego b. r., o godz. 9% zaalarmowany został komisariat policji przez członków Ochotniczej Straży Pożarnej wiadomością, że w pobliżu kościoła Matki Boskiej na ulicy Plebanek, tuż obok osławionego „Młyna”, znaleziono w kałuży

Szczegóły tej potwornej zbrodni są następujące: 19-letni wyrostek Stefan Rokicki, będący od pewnego czasu uczniem piekarskim, syn zamożnych rodziców, mieszkających w domu własnym przy ul. Panny Marji 16, strzelił w podstępny sposób do swego 17-letniego kolegi Stanisława Gościńskiego, pragnąc naocznie się przekonać jak człowiek umiera.

Zbrodniczy chłopak przebywał często w domu dla eksmitantów przy ul. Średniej 5/6 i tutaj często pokazywał znajomym rewolwer systemu browning, chwając się, że przy najbliższej sposobności musi kogoś zamordować. We wtorek wieczorem zjawił się Rokicki w stanie podchmielonym w „Młynie”, zwracając na siebie powszechną uwagę awanturniczym zachowaniem się. Zgromadziło się koło niego kilku kolegów, przed którymi począł się chwalić, że „albo dzisiaj sam popełni samobójstwo, albo też kogoś zamorduje”. Gotowy do strzału rewolwer trzymał zawsze w ręce, przykładając go do piersi niektórym kolegom, którzy jednak pogroźkę jego na serio nie brali.

Sierota — ofiara.

W tym momencie przybył do „Młyna” 17-letni Stanisław Gościński i jego upatrzył sobie Rokicki jako ofiarę. Zbliżył się więc do Gościńskiego i zaproponował mu wspólny spacer. — Gościński był sierotą, utrzymywał się sam ze sprzedaży gazet, gdyż matka zmarła mu przed kilku laty, a ojciec jest chorym. Od kilku lat przesładują rodzinę Gościńskich różne nieszczęścia i rok rocznie umiera tam któryś z członków rodziny, bądź to na gruźlicę, bądź też wśród innych tragicznych okoliczności.

Stasio miał bardzo dobrą opinię i lubiany był przez swoich kolegów dzięki wrodzonemu optymizmowi i niewzruszonej pogodzie ducha. Widząc go, jak wychodzi z Rokickim, który uprzednio odgrażał się, że kogoś zastrzeli, na serio z troską się kole-

cznie browning i przyłożył lufę do skroni biednego Stasia. Jak zeznaje jeden z podpatrujących ich chłopców — 14-letni Florjan Nowak — biedny Stasio krzyknął w pewnej chwili z prośbą błagalną w głosie: „Stefan, nie rób tego, bo to będzie mnie boleć”. Nie przebrzmiało jeszcze echo ostatniego słowa Gościńskiego, gdy huknął strzał i ofiara St. Rokickiego zwała się na ziemię.

U dołu:

Dom przy ul. Średniej 5/6 w Inowrocławiu, przerobiony na mieszkanie robotnicze z dawnego młyna, stąd pospolicie zwany „Młyn”. U dołu na lewo: Stefan Rokicki w ubranu więźnia.

Inowrocław (od naszego korespondenta).

Tegoroczny karnawał w Inowrocławiu zakończył się zbrodnią, pod której wrażeniem społeczeństwo naszego miasta pozostanie jeszcze przez długi czas.

Ostatni dzień karnawału. Godzina wieczorna. — Ulice roją się od przechodniów. Lokale restauracyjne pełne rozbawionych gości. Podkoziółek.

Utarło się starym zwyczajem na Kujawach, że w ostatni dzień karnawału młodzież przebiera się w stroje cyganów, kominiarzy i dziadów, wprowadzając przy dźwiękach skrzypiec i harmonii po ulicach miasta i drogach wiejskich t. zw. „koze”. Zwyczaj „podkoziółka” nieznany jest w innych częściach naszego kraju i w ubiegłym roku wielką polemikę na łamach prasy całej Polski

Doabne wiadomości.

Za trzy calusy — trzy funty szterlingów.

Przed sędzią dla spraw komunikacji stanął przed tygodniem młody człowiek, nazwiskiem Allan Canbury, oskarżony o prowadzenie auta w sprzeczny z przepisami ruchu sposób, co spowodowało zderzenie na niebezpiecznym zakręcie z drugim pojazdem.

Szkoda była wprawdzie bardzo mała, gdyż w najechnięciu aucie nastąpiło tylko uszkodzenie wachlarza, ale literze prawa karnego musiało stać się zadość.

Przesłuchany w charakterze świadka, policjant pilnujący ruchu w krytycznym miejscu podał, że obwiniony w czasie jazdy obejmował jadącą z nim pannę Maty Sales i trzy razy ją pocałował.

„Każdy calus będzie Pana kosztował jednego funta szterlinga” — obwieścił sędzia w uzasadnieniu swego wyroku skazującego.

„Droga to nieco historia, ale przynajmniej przyjacielka pana będzie dumna, że jej calusy tak wysoką przedstawiają wartość.

Małe zarobki kafa amerykańskiego.

Robert Elliot, kat więzienia amerykańskiego Sing-Sing nie skarżył się nigdy dotychczas na brak zajęcia. Ostatni jednak bilans roczny zaniepokoił mistrza Elliota do tego stopnia, że podzielił się swymi zgrzytami z opinią publiczną.

W roku 1932 Elliot poprowadził jeszcze 20 delikwentów na „krzesło elektryczne”. W roku 1933 liczba skazanych na stracenie prądem elektrycznym przerażająco się zmniejszyła — zapewnia Elliot. W ostatnim roku wykonał Elliot 17 wyroków śmierci, co oznacza zmniejszenie jego dochodów o 450 dolarów. Za każdą egzekucję otrzymuje on bowiem takse w wysokości 150 dolarów. Elliot dodaje, że za sumę 3 tysięcy dolarów, którą zarobił w roku 1932 mógł wyżyć, przy kwocie zaś 2550 dolarów, uzyskanej przezeń w 1933 ledwie może związać koniec z końcem. Najgorsze, kończy swe żale mistrz Elliot, że obecnie nie przebywa w zakładzie Sing-Sing ani jeden kandydat na „elektryczną śmierć”.

Mamy wrażenie, że polski kolega Elliota, kat Braun, niema żadnych przyczyn do narzekania.

Strzały na postrach czy też chybione?

Czytamy nieraz w gazetach, że policjant ścigając zbrodniarza na ulicy podczas ruchu przechodniów i pojazdów, lub też zaatakowany tam przez przestępcę, oddał kilkanaście strzałów na postrach.

Czy rzeczywiście policjant tak wielką ilość strzałów oddał na postrach w czasie największego ruchu ulicznego, gdy strzały te mogły ugodzić przechodniów?

Prasa kryminalistyczna zajęła się obecnie kwestią uzbrojenia policji i podnosi, że jest ono wadliwe. Gdy strzelający policjant jest zdenerwowany i nie może ani też niema czasu na celowanie, trafienie z rewolweru jest bardzo trudne. Nie nadają się także wówczas karabiny, stanowiące wielkie niebezpieczeństwo dla ludności. Karabiny posiadają nośność dwóch do trzech kilometrów, a więc używanie ich na ulicach wielkomiejskich jest zupełnie nieodosowne.

Prasa kryminalistyczna proponuje władz zatem uzbrojenie europejskiej policji na sposób amerykański. Amerykańscy policjanci używają krótkich strzelb, nazywanych „riot-guns”, nabitych grubym śrutem, zawierających 9 lotek. Taki nabój posiada większe pole rażenia, wobec czego możliwość trafienia nawet przy niedokładnym celowaniu wzdłuż lufy jest znacznie większe.

Tego rodzaju broń powinna otrzymać także policja europejska. Przestępcy wkrótceby zrozumieli, że nowe uzbrojenie policji pozwala jej na pewniejsze tępienie zbrodniczości, a wtedy autorytet policji w oczach zbrodniarzy znacznieby się podniósł.

Jeszcze „Stawski w Inowrocławiu”.

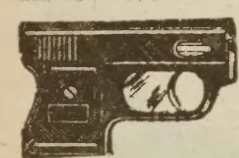
W artykule „Stawski w Inowrocławiu?”, zamieszczonym w naszym tygodniku w nr. 7 z dn. 11-go b. m. zastrzeżenie się pewne niedokładności, które niniejszem prostujemy:

I tak ustęp końcowy artykułu, odnoszący się do znanych w Inowrocławiu przemysłowców Braci Truszkowskich, okazał się mylnym, gdyż ani jeden z pp. Truszkowskich nie znał oświadczenia rzekomego Stawskiego i jego przyjaciółki „Pięknej Hiszpanki”, nie wchodził z nimi w żadne interesy, nie odwiedzał ich w Warszawie i nie jest bynajmniej rodowitym Amerykaninem. Obaj są Polakami urodzonymi w Gostyninie.

Informacje odnoszące się do zgoła innych osób i przez pomyłkę zostały związane z osobami pp. Truszkowskich.

NOWOŚĆ! AUTOMAT-BROWNING

6-cio mm. odznaczony na wystawie technicznej, wyrzucający sam gilzy po wystrzale, patent. roku 1934 automat, syst. „Strzala” — strzelający do celu metalowymi kulami lub śrutem do płaćwa, pięknie oksydowany, płaski, zapewnia zupełne bezpieczeństwo, osobiście, bak ogłuszający. Cena tylko zł. 8.95, 2 sztuki 16.50, 10-cio strzał. zł. 22.—. Seka kul 3.75. Szczegółowe do czyszczenia lufy, podajemy darmo. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy za zaliczeniem poczt. Koszty przesyłki opłaca kupujący. — Adresować: Gen. Przedstaw. na cała Polskę i W. M. Gdańsk „STRZALA”, WARSZAWA — ul. Dr. Zamenhofs 12.



Baczność! Tylko z naszej firmy można sprowadzić czarne prawdziwe automatyczne browningi, wyrzucające gilzy po wystrzale. — Dla sklepów szejcjalna cena.



Powyżej od lewej: Włamywacze Majer Smolar, i Wojciech Ostrowicz oraz post. Musiol, który ich aresztował.

N Mysłowice (od naszego koresp.).

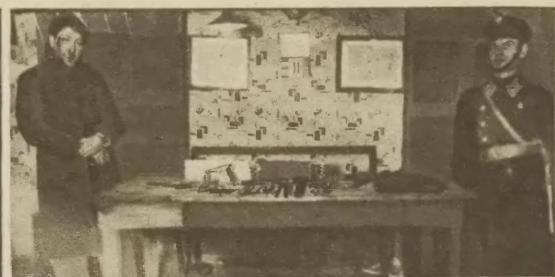
Niezawsze sobie zdajemy sprawę z olbrzymiej roli, jaką spełnia policja w dobrze zorganizowanym społeczeństwie. Sam fakt jej istnienia, obawa przed energiczną interwencją i bolesną likwidacją wszelkich zakusów na spokój i ład publiczny bardzo często wystarczą, aby niespokojne żywioły utrzymać w ryzach. Aby tak jednak było, policja musi trwać na posterunkach czujna, działająca sprawnie i nie cofająca się w razie potrzeby przed żadną ofiarą. Policja nasza celowym wysiłkiem obecnego jej komendanta organizowana od szeregu lat pod kątem widzenia ofiarnej pracy i celowego wysiłku daje na każdym kroku dowody, że w rozwoju swoim coraz bardziej zbliża się do ideału stróżów bezpieczeństwa publicznego.

Podkreślić jednak musimy, że jednym z warunków sprawnego funkcjonowania władz bezpieczeństwa jest również współpraca całego społeczeństwa. Zbrodniarz musi być bezwzględnie tępiący przez wszystkich. Zastrzeć się tylko należy, że zbrodniarz to nie znaczy sam człowiek, który popełnia zbrodnie. Nasze nowe ustawodawstwo karne zbrodnię ściga bezlitośnie, ale człowieka, który ją popełnia, bierze w obronę przed jego instynktem zbrodniczym, przed afektem nadmiernym itp. i stosując środki wychowawcze i zapobiegawcze stara się z jednej strony chronić społeczeństwo, z drugiej zaś wyleczyć chorą jednostkę i wrócić ją społeczeństwu.

Są to dygresje na marginesie wypadku, jaki zdarzył się ostatnio w Mysłowicach. Gotowość i ofiarność policji, która natychmiast na wezwanie zagrożonych stawiała się i nie bacząc na ostrzeliwujących się bandytów, energicznie zainterwenjowała, nasunęła mi te uwagi.

W niedzielę 11 lutego o godz. 3-ciej w nocy wracał do domu właściciel zakładu jubilerskiego Garczarzyk. Prze-

WŁAMANIE U GARCZARZYKA



Włamywacz Ostrowicz przy stole, na którym leżą narzędzia włamywaczy.

Pszczyńskiej. Była już godzina 3-cia w nocy, gdy usłyszałem głośnie nawoływania: „Policja, Policja”. Udałem się za głosem wzywającym pomocy. Spóźnieni przechodnie objaśnili mi, że do składu Garczarzyka dokonano włamania. Szybko udałem się na miejsce. Gdy z informacji domowników zorientowałem się, że bandyci są prawdopodobnie w piwnicy pod składem, przygotowałem broń do strzału i zeszedłem na dół. Na dole jednak przekonałem się, że chodniki rozchodzą się w dwóch kierunkach. Sytuacja była zbyt niebezpieczna dla jednego, ponieważ mogłem się dostać w ogień z dwóch stron. Postanowiłem na górze poczekać na zażądane w międzyczasie posiłki. Ledwie cofnąłem się po schodach na górę, gdy usłyszałem brzęk szyby i krzyki:

„Uciekają oknem!”.

Gdy wybiegłem na ulicę, zauważyłem jednego bandytę opierającego się jedną ręką o żaluzję okna, podczas gdy w drugiej trzymał broń, z której się ostrzeliwał, dwóch zaś innych uciekało przez wybitne okno. Niewiele się namyślając wymierzyłem. — Broń nie wypaliła, wobec tego zarepetowałem rewolwer ponownie i odpowiedziałem na strzały bandyty. Wszystko to trwało nie dłużej, niż kilkanaście sekund. Trafielem bandytę, trafiony zachwiał się i padł na chodnik. Pobiegłem za pozostałymi dwoma. Uciekający ostrzeliwali się często, zwracając jednak tylko uwagę na mnie, nie zauważyli, że z drugiej strony zabiega im drogę posterunkowy Streiber. Jednego ujęliśmy i zakuli w kajdanki, drugi narażenie zdołał uciec.

Tyle opowiada o wypadku post. Musiol. Od siebie dodamy, że w czasie pościgu przechodnie w miarę możliwości pomagali ścigającym posterunkowym, co należy podkreślić z uznaniem.

Ranny włamywacz nazywa się Majer Smolar, ostatnio zamieszkały w Warszawie, otrzymał dwie rany postrzałowe w twarz i nogę. Umieszczo-



Skład jubilerski Władysława Garczarzyka przy ul. Pszczyńskiej w Mysłowicach, gdzie obecnie dokonano włamania (x) oznacza okno, przez które uciekli włamywacze.



Skład jubilera Konrada Garczarzyka, gdzie przed dwoma laty dokonano włamania.

chodząc kolo swego sklepu, ostrożnie sprawdził, czy wszystkie zamki są zamknięte. Przy drzwiach prowadzących do piwnicy zauważył, że rygiel jest odkręcony. Natychmiast dokręcił rygiel i słysząc szmery w piwnicy, wezwał na pomoc syna, przyczem wezwali policję. Wołania Garczarzyka usłyszał pełniący na ul. Pszczyńskiej służbę posterunkowy P. P. Musiol.

Co mówi posterunkowy P. P. Musiol?

Posłuchajmy, co mówi posterunkowy Musiol: Krytycznego wieczoru pełniłem służbę na ul.

no go w szpitalu miejskim w Mysłowicach. — Drugi ujęty bandyta nazywa się Wojciech Ostrowicz, stale zamieszkały w Sosnowcu. — Ostrowicz podał, że zbiegły współnik nazywa się Kalinowski i pochodzi z Kalisza. Podał on dalej, że Smolar i Kalinowski przybyli na gościnne występy do Mysłowic i nakłonili go do włamania. Za trzecim włamywaczem energiczny pościg prowadzi kier. komis. P. P. w Mysłowicach p-komisarz Sikora. Nadmieniamy, że jest to już drugie włamanie do składu jubilerskiego w Mysłowicach w ciągu ostatnich 2 lat.

A. R.

Opium jest jedną z najstraszniejszych trucizn, które powodują u palaczy po dłuższym użyciu — kompletne wycieńczenie, rozstrój nerwowy i szereg symptomów chorobliwych.



NARKOMANI

TAJEMNICA HANDLU KOKAINĄ W MARSYLII.

Po wojnie światowej bardziej, niż kiedykolwiek przedtem daje się odczuć głód za jakimś niecodziennym przygodami, niezdrowymi wstrząsami i doznaniem. Ludzie słabi, którzy siłą woli nie potrafili odegrać od siebie raz zaznanych narkotyków, stworzyli w większych zbiorowiskach (najczęściej w miastach portowych) całe kolonie istot zaprzepaszczonej.

Rzecz znaną i ciekawą jest to, że narkomani oddają się najrozmaitsze mi truciznam przeważnie w większych grupach. Częstokroć policja w poszukiwaniu tajnych domów, w których uprawiany jest handel narkotykami — zastawała formalne sabaty odurzonych trucizną. Wśród wspaniałych urządzonych salonów — narkomani oddawali się najbardziej wyuzdanym orgiom, które łączyły w sobie chęć zaspokojenia — nie tylko naturalnych popędów.

Pitigrilli, w książce swej p. t. „Kokaina” opowiada w niezmiernie ciekawy sposób o takim zebraniu narkomanów, którzy nasyciwszy organizm trucizną — upajali się widokiem egzotycznych, bajecznie kolorowych motyli, fruujących wśród tragicznej atmosfery kokainowych oparów i ginęły opuszczając bezsilnie swe wspaniałe skrzydła na strzępy ludzkich ciał zalegające dywany.

Cały wschód i wszystkie jego wielkie porty z Konstantynopolem na czele przesyłają na pokładach różnych okrętów całe zapasy przetworów narkotycznych. Okręty z zakazanym ładunkiem zawijają do wszystkich większych portów Europy i Ameryki. Sławne są dzielnice chińskie w San Francisco Nowym Jorku i Londynie. Także w Marsylii czy Hamburgu można od przetrząsanych ciemnych indywiduów — utrzymujących stosunki z marynarzami, przemycającymi narkotyki — kupić wszystko, nie wyłączając... ludzkich głów.

Policja wielkich portów — nieustannie walczy z przemytem i domami, w których uprawia się narkomanję. Jednakże labirynt małych i tajemniczych uliczek — starych dzielnic portowych posiada tak nieprzeniknioną czasami, sieć tajemnych przejść, schowków i sygnałów, a równocześnie tak dobrze zorganizowaną dostawę narkotyków, że wszystkie oblawy policyjne i wielka ilość konfidentów nie jest w stanie wydatnie zaradzić i powstrzymać — szerząc się zarazem handlu narkotyków.

Nie było chyba miasta w Europie, w którymby nie wybuchł jakiś skandal, w związku z uprawianiem narkomanji. W Polsce szereg takich wypadków również miał miejsce. Na łamach naszego tygodnika wiele razy informowaliśmy Czytelników o wynikach policji w związku z zapobieganiem i wykrywaniem przemytu i handlu narkotykami.

Ponieważ ceny narkotyków są bardzo wysokie, przeto, najczęściej w związku z wykryciem przez policję takiej afery wychodzą na jaw szczegóły kompromitujące osoby zamożne, stojące na wysokich stanowiskach.

Handel truciznami, które służyć powinny jedynie dla dobra ludzkości, stosowane przez lekarzy w razie cierpienia, jest zajęciem niezwykle intratnym. Handlarze operują i zarabiają na handlu olbrzymie sumy. Nie więc dziwnego, że starają się oni rozszerzyć swoje rynki zbytu. W tym celu zakładają oni liczne tajne domy i „bezinteresownie” nadsyłają „próbki” narkotyków upatrzonym ofiarom, wiedząc dobrze o tem, że tylko przyzwyczajenie i nieodparta chęć zaspokojenia raz, jakże nieostrożnie spowodowanego głodu — może im dostarczyć tak pożądanego źródła dochodów i klientów.

Jak dalece zakonspirowane są domy, w których uprawia się narkomanję i handel trucizną, niech posłuży za przykład poniżej podane zdarzenie, które w kolejności wypadków, tak jak one miały miejsce — opowiemy.

Któregoś dnia, około godziny 8-ej wieczorem, znajdujący się na nadbrzeżu portu marsylijskiego w okolicy Starego Basenu — ludzie — zwrócili uwagę na kołysane falą czółno. Łódka popychana większym ku morzu wiatrem, zwolna oddalała się. Policja zawiadomiona o tem, że czółno bez załogi — widocznie zluźnione z nadbrzeża portu rybackiego — odpływa ku morzu, wydała rozkaz motorówce, patrolującej brzegi, aby łódkę wspomnianą przyholowano zpowrotem do basenu Starego Portu, do nadbrzeża policyjnego.

Gdy w 20 minut potem motorówka zbliżyła się do

molo, na dworze panował już mrok. Aby zakotwiczyć motorówkę —

musiano zapalić reflektor.

W chwili, gdy burtę łodzi uderzyła o molo — policjant z załogi jednym skokiem znalazł się na wybrzeżu i pędem podążył do komisariatu.

W chwili potem na molo znalazł się lekarz policyjny oraz komisarz. Na dnie przyholowanej łódki rybackiej leżał mężczyzna. Jego ubranie świadczyło o dobrym stanie majątkowym. Lekarz, który przybył dla dokonania oględzin — stwierdził, że mężczyzna jest nieżywy. W kieszeni marynarki nieznanego mężczyzny znaleziono portfel, zawierający kilka banknotów — sto i pięćset frankowych. Na ciele trupa nie znaleziono żadnych śladów gwałtu. W kilka minut spisano protokół i przeniesiono zwłoki do samochodu sanitarnego, zawiadzanego telefonicznie.

Samochód oddał się, z wybiciem godziny 9-tej wieczór.

W tym samym czasie komisariat policji wodnej po drugiej stronie basenu w okolicy promu mostowego — odwiedził stary zgarbiony rybak.

— Chciałem zameldować, że skradziono mi moją łódkę, oznaczoną numerem 256...

— Czy zauważył pan w godzinach poprzedzających kradzież coś podejrzanego, lub czy posadza pan kogo o ten czyn?

— Nie, nikogo nie posadzałem... Jednak rybacy, którzy znajdowali się w godzinach wieczornych na nadbrzeżu — poinformowali mnie, że około godziny 7-ej nadjechał w okolicę gdzie znajdują się przygotowane na wywóz towary — samochód. Z auta wysiadło trzech mężczyzn. Jeden z nich robił wrażenie podchmielonego. Dwaj inni musieli go prowadzić pod ręce. Nieznajomi skierowali się w stronę brzegu i zniknęli za stołem beczek. Ich auto odjechało w stronę Hotel Dieu... Na tem kończą się wiadomości, udzielone mi przez rybaków. Gdy po kolacji udałem się na molo, aby sprawdzić, czy łódź jest dobrze przycumowana —

stwierdziłem brak tejże. To wszystko...

— Może pan udać się do domu — poinformował policjant. — Mam wrażenie, że jutro odnajdzie się pańska łódź. Tego rodzaju statkami nie podróżuje się do Ameryki.

Krótko po godzinie 3-ej tejże nocy pa-

trołujący ulicami dzielnic portowej policjanci usłyszeli przeraźliwy krzyk kobiety. Gdy podążyli w stronę, skąd głos dochodził — nie znaleźli nic podejrzanego. Kilku pijanych marynarzy wlokło się dusznymi ulicami. Nie mogli oni udzielić żadnych informacji.

Agenci przeszukali mieszczące się na tej ulicy bary i zakonspirowane domy schadzek. Nie znaleziono nic.

O godzinie 3.30 — tenże patrol policyjny wracał, nie nie wskórawszy.

— Któż to mógł krzyczeć — do diabła?

— Przysiągłbym, że tam się coś niedobrego święciło...

— Baczność! — sykną idący przodem agent.

Wśród cieni odrapanych ruder, wśród nikłych refleksów — zamajaczyły jakieś cienie i znikły.

Policjanci zatrzymali się bez ruchu — weśnięci w ścianę jednego z domów. I nagle... znajdujące się ook małe drewniane drzwi, rozwarły się bezszelestnie. Agenci nie namyślając się, wpadli do środka — oświetlając drogę latarkami. Wąska sień kończyła się starymi schodami — prowadzącymi ku górze. Drzwi, przy tych schodach były zamknięte na wielką kłódkę i okurzone. Żadnych śladów aby ktoś otwierał ją, nie było. Naokoło gładkie mury i tylko te jedne zamknięte drzwi. Policjanci opuszczali już się, gdy naraz światło latarki padło na skrawek jasnego materiału wystającego zpoza otwartych drzwi wchodowych. Uchyłono je...

Weśnięta za framugę — z wyrazem panicznego strachu i obłędu w oczach — stała kobieta. Zapytana — nie dawała żadnych odpowiedzi. Zabrano ją. W komisariacie stwierdzono, że dziewczyna znajduje się na progu choroby umysłowej. Przewieziono ją do szpitala w nadziei, że gdy przyjdzie do siebie — udzieli potrzebnych informacji.

W godzinę po oddaleniu się agentów policyjnych, którzy uprowadzili z sobą tajemniczą kobietę — na tej samej uliczce, w której dokonano zagdkowego odkrycia, o dwa domy dalej, otworzyła się brama zaryglowana żelaznym skoblem. Dwóch mężczyzn wsiadło do oczekującego samochodu.

Z tym chłopcem wszystko poszło dobrze... Boję się jednak, czy dziewczyna nie wygada prawdy...

— Mówiłem zawsze — odparł drugi mężczyzna — żeby nie nadużywać cierpliwości Lili. Była dobrą agentką, napchała nasze kieszenie pieniędzmi... Nie można jej się jednak dziwić, że sprzeciwiła się sprowadzeniu do naszego domu swego chłopca. Mówiła, że go kocha.

Podczas, gdy samochód uwozący tajemniczych ludzi, mknął po błyszczących asfaltach — podczas sekcji, przeprowadzonej na zwłokach znalezionej w basenie mężczyzny, ustalono — że śmierć nastąpiła wskutek nadużycia kokainy. Serce nie wytrzymało nadmiaru trucizny. Na tem „zakończyła się” sprawa narkomana.

W wiele dni po tem zajściu w szpitalu, gdzie umieszczono dziewczynę, znaną podczas owej pamiętnej nocy w czarnej sieni, odbyło się przesłuchanie policyjne. Młoda kobieta oświadczyła, że nazywa się Lili Duval i że ma zamiar złożyć obszernie zeznania na temat tajnych domów i handlu narkotykami w Marsylii.

— Pani zeznaje do protokołu — ostrzegł jeden z agentów.

— Wiem o tem — odpowiedziała panna Duval. — Wyzyskiwano mnie zbyt długo i zażądano wkońcu ohydy, pod groźbą najgorszych represyj. Ci dwaj, to...

W tej chwili padły przez otwarte okno z przeciwległej kamienicy dwa strzały. Lili Duval z przestrzeloną skronią osunęła się na dywan.

Na zakończenie tego opowiadania, trzeba dodać, że podczas oblawy na ulicy, gdzie znaleziono kiedyś pannę Duval — odkryto w jednym ze składów zakonspirowane salony palarni opium. Były one jednak opustoszałe. W kilka dni po strzałach w szpitalu — na łamach pisma marsylijskiego można było wyczytać ogłoszenie: „Lili, gdzie jesteś. Wiem, że wrócisz. — Twój Jean”.

Oto jeszcze jedno z tych wołań, na które nigdy nie będzie odpowiedzi...

A. MAJA.



Nalewo: Urzędnicy celni badają pokład przybyłego do Marsylii okrętu, w poszukiwaniu za ukrytym przemytem narkotyków. — U dołu: Patrol Pałacu Sprawiedliwości w Marsylii.

MITKA KUŹMUK LEŚNY ZBÓJ.

Wilno w lutym.

Nie wiedziałeś Kuźmuku, sławę swoją zbójce fundując dla dziewczyny, że ona właśnie ta, dla której wszystko poświęcił — za grosze ciebie zaprzeda — tak jakgdyby życie twoje młodzieńcze, porywów i przygód pełne nie więcej było warte — jak nagroda trzystuzłotowa — przez władze w gminie wyznaczona.

Jak gdyby więcej niewartą była, twoja miłość młodzieńcza, świetnie zapowiadająca się karierą sługi leśnego, jak gdyby nie była więcej warta miłości matki twojej staruchy chłopki — co ciebie hulała i kochała i wybaczyla wszystko, nawet miłość zdrożną, nawet sławę zbójczą.

Młode lata.

cyku kresowym na dalekich ługach Polesia zagubionym, że ten miły i ładny lokajczyk Mitka, kręcący się po czeladnej izbie i pomagający w czasie obiadu kamerdynerowi w stołowym pokoju, chłopskie dziecko, nawpół sierota — w młodych latach na groźbę okolicy wyrośnie, nie oszczędzi dobrodziejów swoich panów ze dworu, Kainem i zbrodniarzem się stanie, i człowiekiem, którego przeklinać będą ciche wsie, a na którego jak na wściekle zwierzę polować będą dwory.

Nie domyśliła się tego stara jego matka wdowa, głaząc bujną czuprynę syna jedynaka, nie domyślał się stary dziadek, który rezolutnego lokajczyka lubił, względami darzył, groszem wspomagał i zawsze z sobą wszędzie zabierał. Czy do Warszawy, czy do sąsiadów na polowanie, czy na kulig zapustny.

Młody Mitka stał się nieodstępnym starszego hrabiego B., zawsze ładnie ubrany, usłużny i grzeczny, umiejący się ludziom przypodobać.

Wizytując w czasie pożogi wojennej pałac w Wołczanach, po raz pierwszy zobaczyłem Mitkę. Ładnym był chłopakiem: z dużych, jasnych oczu spoglądała szczerość, jakaś bezpośrednia i cień melancholji, tak niekiedy charaktery styczny u ludu poleskiego.

— Cóż to za chłopak, proszę hrabiego?

— Ten — to Mitka. Ojciec dawny furman cugowy obumiał go, matka biedaczka, wzięła więc chłopaka do siebie, a ponieważ mego syna nosi gdzieś po Francji południowej od roku, przywykłem do malca, jak do własnego. Chłopiec mówiący już dobrze po polsku, z lekkim tylko śpiwym akcentem poleskim, zawsze chętny do usług, stał się ulubieńcem kwatrujących w Wołczanach ułanów polskich, którzy po dłuższej naradzie przybyli do mnie z petycją przyjęcia chłopca do szwadronu.

— To niemożliwe, moi złoci. Chłopak przy nas na wojnie zmarnuje się, a tu mając serdeczną opiekę hrabiego, kiedyś na człowieka wyrośnie. No, a ty Mitka chciałbyś być ułanem?

Chłopak uśmiechnął się.

— Ocho... o... o...

— No to zaczekaj kilka lat. Wojna się skończy, a ty jakąś naukę i tak do wojska pójdziesz.

Ale jakżeż niezbadane są wyroki losu. Może ten Mitka, mały Mitka do wojska wtedy przyjęty stałby się, w ciężkiej doli i służbie, człowiekiem zacnym i przydatnym członkiem społeczeństwa... A tak...

Mitka więc pozostał w Wołczanach i jak kiedyś jego opiekun i chlebodawca wspominał, miał być oddanym do nadleśnego na praktykę, ponieważ „do lasu chęć czuł”.

Mijały lata, jak zły sen minęła krwawa wojna, do Wołczan powrócił młody hrabia, objął gospodarkę nad olbrzymim latyfundijskim, a Mitkę w myśl postanowień starego dziadka, oddano do nadleśniczego do folwarku Berozy, by tam wiedz praktycznej do przyszłego zawodu podległego nabrał.

Miał wtedy chłopiec lat 18-cie i dziewczęta z folwarku już na Mitkę uwagę zwracać zaczęły, bo chłopak był naprawdę urodziwy a do tego (o próżności niewieście!) piękny nosił mundur leśny o srebrnych guzikach...

Oddanie na praktykę do Berozy, stanowiło dla chłopca punkt zwrotny i punkt fatalny w życiu.

Piękna Ola.

Dziewczyną do dzieci nadleśniczego Smolskiego, a zarazem i pokojówką, była Ola Gontarzówna, kraśna dziewczyna wiejska, tyleż lat co i Kuźmuk leżyła — nie tyle ładna co postawna i kolorowa.

Zrazu nie zwracała uwagi na młodego praktykanta, ale gdy ten pewnego razu, na „wieczorynce” (wieczorki z tańcami urządzane co soboty na wsiach) do tańca ją poprosił ładnie „po pańsku” (po polsku) mówić zaczęła i gdy dziewczynie jeszcze cukierków kupił, sprytna dziewczyna zaczęła się nim interesować... Wypytywała, kto był on taki, a dowiedziawszy się, że świeżo z pałacu przybył i że zawsze gotówkę ma, postanowiła usidlić chłopca.

Zaczęły się więc chodzenia po sadzie z trzymania się za ręce, zaczęły się szepty w opłotkach i Mitka zakochał się... zakochał się raz pierwszy i ostatni w życiu.

Los chciał jednak, że chłopiec ten o słabym i chwiejnym charakterze miał natrafić nie na miłość szczerą i wajemną, ale na początku drogi swego życia spotkał złe, wyrachowane serce kobiece, któremu tylko chodziło o wykorzystanie chłopca.

Ale nie przeczuwał tego Mitka zakochany. Już na początku znajomości dziewczyna potrafiła wyluskać z kieszeni Kuźmuka wszystkie oszczędności, a gdy tych nie stało, a nalegania i dasy kochanki stawały się coraz to przykrejsze, poszedł do pałacu prosić starego pana o trochę pieniędzy. Tak się złożyło, że stary hrabia wyjechał na czas dłuższy do stolicy, a Kuźmuk zastał tylko młodego dziadka.

— No, co powiesz Mitka? — zapytał hrabia...

— Chiałbym jasnego pana o pieniądze prosić.

— O pieniądze? Przed tygodniem dostałeś pensję, matce grosza nie dałeś tak, że przyszła na skargę do mnie, a teraz ci znów pieniędzy trzeba? — na co?

Kuźmuk milczał...

— Na wódkę i dziewczęta ja ci pieniądze nie dam; o ile ci czego trzeba, to powiedz, a kupi ci się. Ucz się lepiej i pracuj, byś na stare lata pociechą był dla matki.

Mitka zaciął się, skłonił nisko i poszedł z pałacu. Wstyd mu było okro-

pnie, gdyż przypuszczał, że młody hrabia już wszystko wie.

Stanął pod białą ścianą pałacu i przeżywał swój żal.

Pieniądzy! pieniądze za wszelką cenę.

Wtem spojrzął w okno domu. Było to okno gabinetu starego pana, a w gabinecie była ta szafa z pieniędzmi. Nie kasa ogniotrwała, ale zwykła szafa książkowa, w której stary hrabia trzymał pieniądze...

Szaleńcza myśl opanowała chłopca. Pobiegł do lasu.

Pierwsza zbrodnia.

Nazajutrz okoliczne sąsiedztwo zelektryzowane zostało wiadomością o morderstwie i grabieży w pałacu wołczańskim.

Nieznany narażeniu nikomu osobnik zakradł się nocą przez okno do gabinetu hrabiego, za pomocą łomu wyłamał drzwi w szafie i ze szkatuły zabrał drogie rodzinne precjoza i trochę pieniędzy.

Tenże sam osobnik po kradzieży opuszczając pałac, przez

okno natknął się na gazonia na stróża nocnego, który prawdopodobnie chciał złoczyńcę zatrzymać, ale w chwili szamotanii się z nim stróż został ugodzony jakimś twardym przedmiotem w skroń, co spowodowało śmierć natychmiastową na skutek pęknięcia czaszki.

Gdy w godzinę po dojściu do nas wiadomości, przyjechałem konno do pałacu, zastałem tam cały aparat śledczy, obradujący i spisujący coś w pałacu.

Zagadnąłem hrabiego.

— Czy nie posadza kogoś sąsiad z domowników o kradzież?

— Ależ skąd znowu. Służba u nas stara wypróbowana, ludzie wszystko uczciwi i zaci.

— Więcej kłóży z obcych o schowku wiedział. Przecież nawet ja, stały wasz gość nie wiedziałem, że ojciec tam trzyma pieniądze.

— Tak to dziwnie, ale ja służbę wykluczam absolutnie...

— Hm... no czas pokaże.

Władze śledcze po oględzinach i sfotografowaniu zabitego odjechały do Kobylnia, a po dniach kilkunastu zaprzestano o napadzie mówić... Gdy wtem któregoś dnia w pobliskim miasteczku wybuchła awantura. Rządca hrabiego, bawiąc po zakupie w osadzie, rozpoznał u jednej z żydówek, mających skład zboża, jeden z klejnotów zrabowanych w pałacu, a mianowicie broszkę s. p. matki młodego hrabiego.

Policja, dochodzenia, ale przeleknięta kupcową, to tylko zeznać mogła, że broszkę sprzedała jej za bezcen jakaś wiejska dziewczyna, nie zapytała jej nawet jednak, jak się nazywa i skąd ona. Broszkę skonfiskowano i zwrócono uwagę na przybywających na targ włóścian.

Minęło znowu kilka tygodni i życie pobiegło zwykłym torem. Ale w styczniu, w czasie objazdu leśnego, nadleśniczy zwrócił uwagę, że w pewnym kwartale opodal wsi leżącym brakować zaczyna drzew — co ładniejszych, samego budulca, który ktoś, nie zadając sobie nawet trudu ukrywania kradzieży i nie zacierając śladów z lasu wywozi.

Ślady wiodły wprost ku stacji kolejowej i tartakom, gdzie obrobione drzewo odnaleźć i zidentyfikować nie było sposobu.

Krwawe spotkanie.

Nadleśniczy postanowił na śmiałych złodziejasków

zapolować. Sam więc z praktykantem Kuźmukiem w chłopskich saniach, nocą do lasu się wyrzeka, uzbrojony w rewolwer Colta...

Na prośbę żony, by wziął z sobą kilku gajowych odpowiada, że będąc z Mitką czuje się bezpiecznym.

W cichej leśniczówce jednak daremnie oczekiwano powrotu sanek. Nie wróciły na koleję ni też na śniadanie.

Posłano więc patrol służby leśnej na poszukiwanie zaginionych.

Godzinę dobrą przekopywać się musieli gajowi przez śnieg, a gdy nadbiegli do stojących sanek... oniemieli ze zgrozy...

Tuż przy saniach leżał nadleśniczy w kałuży krwi martwy i rozbrojony, na śniegu widniały ślady walki i ślady san uwożących ścięte drzewo... (prawdopodobnie zabity musiał natrafić na złodziei leśnych w czasie kradzieży) śladów jednak praktykanta Kuźmuka nigdzie nie odnaleziono.

Zaalarmowane władze bezpieczeństwa, natychmiast przystąpiły do energicznego śledztwa, które wykaza-

ło: Badani i przylapani kupcy kradzionego drzewa zeznali, Mikołaj Kuźmuk, praktykant leśny, drzewo im sprzedawał, działając jakoby z upoważnienia swych chlebodawców i wystawiając nawet kwity na pobrane pieniądze. O zabójstwie czy morderstwie nadleśnego nie nie wiedzą.

Chłopi wsi Podziemień oświadczyli badani, że rano po tragicznej nocy widzieli Kuźmuka zdrowego i wesolego, jak szedł szybko ku chacie, gdzie mieszkała Olga Gontarzówna (od miesiąca już nie pracowała w nadleśnictwie). Rewizja w chacie Gontarzówny nie dała żadnych rezultatów, a dziewczyna zeznała, że chwilę był u niej nad ranem i już poszedł, ale gdzie, tego nie wie. O zbrodni w lesie nie nie wiedziała.

Jasne przeto się stało, że Mitka był sprawcą zbrodni, że on drzewo sprzedawał, a gdy o tem naoecznie przekonał się nadleśny, między nim a Kuźmukiem wywiązała się ostra sprzeczka a następnie walka zakończona zabójstwem nadleśniczego z jego własnego rewolweru.

Poszedł więc huczek po okolicy i do nazwiska Mitki przyrosł epitet „leśny zbój”.

On dla kochanki okradł swych dobrodziejów, on las im kradł i sprzedawał, on sprawca mordu dwojga ludzi.

A Mitka zbiegł w lasy i przepadł... i nikt z nim spotkać się nie kwapił.

Minęły miesiące. Codzienne troski go-

Poniżej na lewo: Stare ule kłodowe, gdzie Gontarzówna ukryła pieniądze zrabowane przez Mitkę.

Poniżej: Charakterystyczny młyn poteski, w którym zabito kłusownika.

spodarcze kazali o leśnym zbójniku ludności zapomnieć, tembardziej, że cicho jakoś o nim było, a że ktoś tam raubszykuje po lesie i żydkom zwierzyny dostarcza, to nie nowina dla tych okolic. Aż dnia któregoś, Mitka Kuźmuk przypomniał się mnie... człowiekowi, który zresztą prawie, że go nie znał. Korzystając z pierwszego wolnego popołudnia, poszedłem na t. zw. „zasiadkę” na kozła. Polowanie polega na tem, że na miejscu, gdzie wychodzą sarny na paszę, siada myśliwy i oczekuje zwierzyny z ukrycia.

Dokończenie na str. 13-ej.

Powyżej: Pałac w Wołczanach. Okno (x), przez które Kuźmuk dokonał włamania. — Powyżej na lewo: Horyzont zachodzące słońca.

Fot. Popiel.

Powyżej: Typowy krajobraz poleski.

Na lewo: Mitka Kuźmuk.

T. DETEKTYW

8

T. DETEKTYW

9

Częstochowa (od naszego korespondenta)

Zdawałoby się, że czasy dzisiejsze, zupełnie realne i trzeźwe, wykreśliły we wszystkich zakątkach świata istnienie owych tajemniczych, ponurych przybytków, gdzie alchemia i przesąd, zabobon i tajemna nauka podawali sobie w uścisku dłonie, które zakreślały zakłete koło czarów. Smutną pamiątką ciemnoty ludzkiej wydają się dzisiaj stosy, na których palono czarownice, retorty alchemików, gdzie poza cudownymi płynami, usiłowano również wydobyć czy sprepować najcenniejszy z metali — złoto, sądzićby można, że ten cały odrębny świat tajemnej magii zapadł się w jakąś tajemniczą otchłań, pozostając jedynie w dziecinnych książkach lub średniowiecznych pamiętnikach. A jednak tak nie jest... Do dzisiaj istnieją takie, jak pani de Thebes. Marzenie nagięcia losu do swych upodobań tkwi w najgłębszej istocie człowieka i mimo wszystkich zdobyczy naukowych, mimo najbardziej trzeźwego realizmu, pozostanie, dopóki człowiek będzie istniał, bowiem składa się on nie tylko z mózgu.

Częstochowska pani de Thebes.

W skromnej dzielnicy, na krańcach Częstochowy, t. zw. Ostatnim Groszu, zamieszkiwała słynna w tych okolicach wróżka, Józefa Siemińska. — Sławną ona była ze świetnego stawiania kart, czarnoksięskich praktyk i cudownych ziół, któremi różne uzdrawiała choroby. Jej pokój przyjęć przypominał groty średniowiecznych czarownic z kółkami u drzwi — ukryty w tajemniczym półmroku, rozświetlał się w chwilach przybycia gości zielonemi ślepiami lśniącego, czarnego kota; talje kart, kryjących dzieje przyszłości, leżały na małym stoliku obok trupiej główki i szeregu flaszek i flaszeczek, gdzie, jak w szklanych retortach dawnych alchemików, ciemniały płyny o cudownych własnościach. Do Siemińskiej często przychodzili klienci, miała ona wielu znajomych nie tylko z tytułu swej sławy doskonałej wróżki — była bowiem ponadto z zawodu robotnicą fabryczną, a chociaż przekroczyła już wiek balzaczowski (paszport jej opiewał lat 47), to jednak temperament posiadała bujny. Cóż, kiedy serce nie służy i piękna Józefa ani spojrzała na żadnego z tych, którzy jej chcieli zastąpić małżonka niedawno z nią separowanego. Miała wśród swych byłych — kawalerów młodych i starych, a tymczasem Józefa, jakby ją czar jakiś zły opętał, marzyła tylko o jednym i to niedostępnym, narzeczonym innej. Wszystkie robotnice w fabryce wiedziały, że Józefa kocha się na zabój w majstrze, który niedawno objął powierzony mu dział fabryczny, Antonim S., przystojnym, w sile wieku mężczyźnie. Kochała się w nim i inne pracownice.

Tylko, że wszystkie w fantazji łowiły spojrzenia surowego majstra, który, będąc poważnym człowiekiem, ani patrzył na kobiety.

A. Siemińska znów uparta i pewna siebie, postanowiła nie w marzeniu, jeno w rzeczywistości majstra opę-



Bohaterka
tragikomedji

Józefa
Siemińska.

Wróżę wam!

budynki z warsztatami. — Przy działach znajdują się specjalne kuchnie, gdzie na wielkim stole stoją, czekając na godzinę posiłku, długie szeregi butelek zapelnionych kawą czy herbatą. To śniadanie robotników i robotnic. Kiedy nastaje przerwa, wbiegają tu hurmem, wyszukując każdy swój posiłek.

Józefa Siemińska nie stykała się ze swoim majstrem poza terenem fabrycznym, to też jedynym miejscem, gdzie mogła mieć z nim jakikolwiek kontakt, była fabryka. Zrozpaczona obojętnością Antoniego S., postanowiła zaczerpnąć rady w sennikach egipskich i starych, od cyganki ongi uzyskanych przepisach, a gdy wreszcie wydobyla z książek tajemny lek na rany swego serca, przybyła do kuchni, mając ukrytą flaszeczkę z czarodziejskim płynem — był to lubezyk. Sreparowany w mrocznej komnacie wróżbiarki, miał być tą ostatnią bronią w walce o miłość pięknego majstra, który odtąd u nóg Józefy winien był zebrać zmiłowania, poza nią świata już nie widząc. Odtąd co dnia wchodziła Józefa ukradkiem na palcach prawie do kuchni fabrycznej, aby parę kropel czarodziejskiego płynu wlać umiłowanemu mężczyźnie do flaszki z kawą czy herbatą. I codnia patrzyła z lękiem i lubością na majstra, czekając, kiedy z jego zimnych oczu strzeli pierwszy płomień budzącej się wkońcu żądzy.

Domniemana trucicielka.

Butelki stojące na kuchni podobne były do siebie rzecz prosta, jak dwie krople wody, zdarzyło się więc, że

ZDJĘCIA
„T. DETEKTYW”.

Poniżej:
Wróżenie
z kart.

Robotnice
fabryki „Częstochowianka” czekają na
otwarcie bramy.

tać i posiąść. Kiedy spojrzenia i słodkie słowa nie pomagały, kiedy najszybsza robota zręcznych rąk wprawnej pracownicy nie zdołała zwrócić na nią uwagi majstra, wówczas postanowiła uciec się do swych czarnoksięskich praktyk.

Lubezyk miłosny czy trucizna.

W ogromnej fabryce francuskiej „La Czenstochovienne” pracuje kilka tysięcy robotnic. Spieszą tu one rano i wieczorem, na kilka zmian pracując, a przychodzą jedne w wytartych chustach, inne wystrojone jak od święta: jedne młode, piękne, niezniszczone życiem, drugie już przywidłe, sterane, myślące tylko o kawałku chleba i głodnych dzieciach. Jest to świat odrębny.

Fabryka położona na krańcu miasta, tuż koło przedmieścia Rakowa, na olbrzymich terenach, cała z czerwonej cegły, widna już z pościagu, wjeżdżającego do Częstochowy od strony Krakowa, pyszni się zdaleka wyrazistym czerwonym budynkiem, opiętym wstążką zewnętrznych, żelaznych schodków, lśniąca od wczesnego wieczoru tysiącami światłami. — Wewnątrz, poza biurami, gdzie panuje cisza i spokojna praca mózgu fabryki, ciągną się

przez kilka pierwszych razy Siemińska przez omyłkę wlała płyn do butelki młodej robotnicy, Teodory Guźli, która będąc chorą na żołądek, od razu dostała bólei i wymiotów. — Ponieważ Guźla jest żoną byłego policjanta, przeto sądzono, że ktoś dołał do kawy robotnicy trucizny przez zemstę. A łatwo było rozróżnić cudowny lubezyk w kawie czy herbacie, bo pierwsza warzyła się od razu, druga zaś czerniała wydatnie. A tymczasem Józefka praktykowała dalej wlewanie cudownych kropli, trafiając to do butelki majstra, to do Guźli, aż wreszcie ktoś kiedyś zauważył te jej dziwne czynności i doniósł o wszystkim zarządowi fabryki. Zaczęto podejrzewać Józefę, iż nie mogąc majstra otumanić, pragnie go struć z zazdrości, tembardziej, że wróżka nieraz mówiła, iż nie darowałaby mężczyźnie, co by pogardził jej gorącą miłością. Postanowiono przychwycić Siemińską na gorącym uczynku.

W tym celu wsadzono do szafy kuchennej robotnika, wywiercając mu dziurkę w oddrzewiach do śledzenia kuchni. — I rzeczywiście po dwóch dniach dokuczliwej i nudnej warty, człowiek ów usłyszał nagle tuż przed śniadaniem robotniczym szelest, a potem dojrzał Józefę, jak pośpiesznie wyciągnęła flaszeczkę i wlała do kawy majstra kilkanaście kropel dziwnej mikstury. Gdy Siemińska z kuchni chciała się ulotnić niespostrzeżenie, wartownik schwycił ją, podnosząc alarm. Zbiegły się tłumnie robotnice i robotnicy, przyszedł sam majster i zarządzający działem się zjawili. Wszyscy chcieli ją na miejscu za domniemane trucicielstwo ukarać, ale przerażona kobieta chwyciła za butelkę z ową „zatrutą” kawą majstra i całą jej zawartość chciała wypić, jednak nie pozwolono jej na to. Złagodniła wtedy postawa tłum; posłano po policję, a Józefę odprowadzono do komisariatu, aby tam swą niewinność od razu wykazać, pół flaszki płynu wypila jednym haustem. Resztę zawartości butelki wysłano do analizy. Józefę, cała we łzach z bólu i wstydu, przysnała się do swych czarnoksięskich praktyk, oświadczając jednak, że nie na życie majstra godziła, a jedynie na jego serce.

Trzeba dodać, iż Siemińską w czasach ostatnich spotykały ciosy jedne za drugimi — opuścił ją mąż, córka jedyna zmarła przy porożu wraz z noworodkiem, a sama bohaterka tej żalosnej historii ciężko za zmartwień wszystkich zaniemogła.

Sądzić należy, iż, jeśli badania żadnych trujących składników nie wykażą, nieszkodliwa romantyczka powróci do swego warsztatu w fabryce, gdzie ciężką pracą zdobywa kawałek chleba. Na szczęście dla Siemińskiej, wszystko zapewne na wstydzie się skończy, bowiem z uwagi na ciemnotę czyn jej pod kwalifikację karną nie podpada.

Wypadek powyższy jest przykładem, że wyniki olbrzymiego postępu wiedzy ścisłej są przywilejem tylko niewielkiej garstki wtajemniczonych. W olbrzymiej swojej większości ludzkość pozostała jak przed wiekami naiwną — przywiązaną do symboli, zabobonu. Wtajemniczeni zaś nawet w kulisy pełnej niespodzianek i „lubezy-

Kuchnia
fabryczna, w której
robotnice pozostawiają
swoje posiłki.

ków” wiedzy tajemnej — bardzo często sami padają ofiarami swoich „czarów”...

Józefa Siemińska „wróżka” nie umiała sobie wywróżyć wstydu, jaki ją spotka i zawodu, jaki jej sprawi troskliwie warzony lubezyk.

S. S.

INSTYTUT Detektywów Pogoń, Katowice, Rynek 4, przeprowadza wywiady, obserwacje, śledztwa etc. szybko i dyskretnie.

27

Dla ochrony przed grypą
zapaleniem gardła i zaziębnieniem
używaj



Do nabycia we wszystkich aptekach.



Jan Szymański.

siadzie młody, zaledwie 19 lat liczący chłopak, na którym ciąży podejrzenie popełnienia całego szeregu potwornych, krwawych zbrodni. Jest to dobrze znany naszym Czytelnikom z cyklu drukowanych w jesieni ub. roku reportaży Roman Hyk.

Obecnie w związku ze zbliżającym się procesem postaramy się przypomnieć sprawę tego młodocianego zbrodniarza, uwzględniając przytem w poniższym reportażu wszystkie nowe okoliczności, jakie wyszły na jaw w ciągu ostatnich miesięcy.

Śmierć Ferenca i Hartmanna.

Spokojny, cichy żywot pędziło małe prowincjonalne miasteczko Dobromil. Płynęły szare, jednolite dni jeden za drugim i nie miało spokoju mieszkańcy. Aż nagle poczęły się dziać w miasteczku rzeczy zgoła niesamowite. Pewnej nocy kwietniowej znaleziono w kurytarzu jednopiętrowego budynku, mieszczącego w sobie biura urzędu skarbowego

W Przemyslu (od naszego koresp.) najbliższych dniach znajdzie się na wokandzie sądu przysięgłych w Przemyslu jeden z najsensacyjniejszych procesów kryminalnych, jakie Przemysł pamięta. Na ławie oskarżonych z a-

z nad brzegu małej rzeczki Wyrwy, przecinającej miasteczko. Liczni mieszkańcy Dobromila, którzy podążyli nad Wyrwę, znaleźli tam w łozach martwe już zwłoki kolonisty Karola Hartmanna.

Dwie z pośród czterech wystrzelonych kul znaleziono w czasie Hartmanna. Miejsce wlotu tych kul były niemal identyczne z temi, jakie skonstatowano u śp. Ferenca. Rewolweru znów nie znaleziono. Jak stwierdzono, zrabowali sprawcy Hartmanowi portfel, zawierający trzysta dolarów i dwieście złotych.

Sprawa zaczęła być poważną. Władze śledcze wysłały specjalnie wywiadowców ze Lwowa i Przemysła, celem wyśledzenia morderców. Aresztowano w wyniku dochodzeń trzy osoby, służącą Hartmanów Romanównę i jej dwu przyjaciół Zbigniewa Gołębiowskiego i Jana Szymańskiego. Już w toku pierwiastkowych dochodzeń obciążła Romanówna silnie obu chłopców, którzy jednak zaprzeczyli stanowczo jej zeznaniom.

Odstawiono ich do więzienia sądu okr.

Poniżej: Służąca Hartmannów
Ludka Romanówna.



dzieli wówczas już przeszło miesiąc w więzieniu. Mieli więc zapewnione alibi. Dochodzenia przeciw tym obu chłopcom trwały kilka miesięcy. Ujawniły one niezbyt świetlaną przeszłość obu młodzieńców, nie potrafiły jednak poza zeznaniami Lubiny Romanów



Zbigniew Gołębiowski.

znaleźć innych dowodów winy.

Wreszcie w grudniu 1931 stanęli oni przed sądem przysięgłych w Przemyslu, jednak tylko pod zarzutem zamordowania Hartmanna. Sprawa mordu na Ferenca miała pozostać niewyjaśnioną. Rozprawa trwała dwa dni. Obfitowała ona w szereg momentów tragicznych. Szymański i Gołębiowski ze łzami w oczach starali się zapewnić Sąd o swej niewinności. Matka Gołębiowskiego słuchana na sprawę jego alibi mdlała kilkakrotnie na sali rozpraw. Inni świadkowie częściowo potwierdzili alibi obu oskarżonych. Jedynie zeznanie Lubiny Romanówny, która w toku śledztwa z podejrzaną przedziegnęła się w świadka — potwierdzały w całej rozciągłości tezy aktu oskarżenia. Po wysłuchaniu mów prokuratora i obrońców, sędziowie przysięgli większością głosów zaprzeczyli pytania odnośnie winy oskarżonych. Trybunał sędziowski stanął jednak na stanowisku, że werdykt ławy przysięgłych jest niesłuszny i zasystował go. W następnej kadencji inna ława przysięgłych potwierdziła pytania i obaj młodzieńcy zostali skazani na



Roman Hyk, który był zapalonym cyklistą.



Władysław Michalik.

zwłoki woźnego tego urzędu Michała Ferenca. Ze skroni denata sączyła się cienka struga krwi. Ciało było jednak już zimne. Brama wejściowa do budynku była zamknięta od wewnątrz. Sprawca dostał się do budynku przez okno z podwórza. Już pierwsze oględziny z zwłok wykazały, że

w Przemyslu. Przeprowadzona przez Instytut Ekspertyz Sądowych ekspertyza kul znalezionych w ciele Hartmanna wykazała, że zostały one ponad wszelką wątpliwość wystrzelone z tego samego rewolweru, którym uśmiercono śp. Ferenca.

Dobromil odetchnął z ulgą. Sprawcy znaleźli się w ręku władz bezpieczeństwa, teraz już z całą pewnością zapanauje spokój.

Minał znów jeden miesiąc.

Tymczasem...

Znowu nad Wyrwą.

Ciszę lipcowego wieczora przerwały dwa szybko po sobie następujące strzały. Odgłos ich szedł z nad Wyrwy. Zaintrygowani podążyli mieszkańcy nad brzeg rzeki. Leżał tam w kałuży krwi młody parobczak z browaru, Wołoszyn. Ze skroni sączyły się dwie cienkie strugi krwi. Ślady dwu kul rewolwerowych.

Wszczęte natychmiast dochodzenia nie ujawniły sprawcy mordu. Przyjęto, że Wołoszyn popełnił samobójstwo, jakkolwiek nie znaleziono przy nim rewolweru, jakkolwiek trudno było przypuścić, by młody, pełen życia i temperamentu chłopak, który dopiero co oddzielił się od rodziców, (które zresztą stale nosił przy sobie, a których przy nim nie znaleziono), pozbawił się życia, i to właśnie w łozach nad Wyrwą o kilkaset kroków od miejsca, gdzie przed miesiącem znaleziono zwłoki Hartmanna. Wątpliwości znalazły nawet wyraz w protokole sądowym oględzin zwłok Wołoszyna, gdzie miejscowa lekarka ze względów naukowych (wlot kuli wyżej od wylotu) stwierdziła, że mogło to być i morderstwo.

Strzały oddane zostały w identyczny sposób, co strzały, od których zginęli śp. Ferenc i Hartmann.

Jak już wspomnieliśmy, Gołębiowski i Szymański sie-

szereg lat więzienia.

Łańcuch krwawych zbrodni, jak się zdawać mogło, się urwał.

Miasteczko za legła przysłowiowa cisza. Uspokoila się nawet „Niemce”, kolonja, której mieszkańcem był śp. Hartmann. P. Hartmannowa wyszła ponownie za mąż. Nazwała się obecnie Pantolowa.

Ma dobrego, porządnego i uczciwego męża, ulubienca całej kolonji. Co wieczór zbierają się przed domem pp. Pantolów sąsiedzi i wiodą długie rozmowy do późnej nocy. Przychodzi m. in. najbliższy sąsiad Franciszek Roemer. W czasie jednego z takich wieczorów schodzi rozmowa na sprawę mordu na Hartmannie. Następnie, zupełnie bez związku z tą sprawą opowiada p. Pantolowa Roemerowi o pewnym dobrym interesie, którego jednak jej śp. pierwszy mąż nie mógł doprowadzić do końca, gdyż go zamordowano. Mianowicie Romek Hyk, syn sąsiadów, zaproponował śp. Hartmannowi na kilka dni przed śmiercią nabycie książeczki PKO wystawionej na dwa tysiące złotych — tylko za pięćset złotych.

(Dokończenie na str. 13-cj.)



Franciszek Roemer.

ma się tu do czynienia ze skrytobójczym morderstwem. Na miejscu czynu nie znaleziono narzędzia zbrodni, rewolweru, z którego wystrzelone zostały dwie znalezione w ciele śp. Ferenca śmiertelne kule.

Wszczęte natychmiast przez władze dochodzenia nie zdołały ujawnić osoby sprawcy.

Mord na Ferenca wstrząsnął miasteczkiem.

Minały dwa miesiące.

Zaczęto już powoli zapominać o krwawej zbrodni w urzędzie skarbowym. Miejsce śp. Ferenca zajął już nowy woźny.

Tymczasem...

Ciszę czerwcowego wieczora przerwały nagle cztery, szybko po sobie następujące strzały. Odgłos ich szedł

Zegary wydzwaniały właśnie godzinę 20,15, kiedy w podwórzowej kamienicy przy ul. Wierzbiciej 30, na trzecim piętrze padło krótko po sobie następując sześć strzałów rewolwerowych. Strzały rozległy się w mieszkaniu zajmowanym przez rodzinę Hoffmanna, pracownika Elektrowni miejskiej. W kilka chwil potem wystraszeni strzałami lokatorzy kamienicy, którzy odważyli się wychylić ze swych mieszkań, ujrzeli szybko zbiegającego po schodach jakiegoś nieznanego mężczyznę, który nie zatrzymywał się przez nikogo, znikł niebawem w ciemnościach nocnych. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że w mieszkaniu Hoffmannów stało się coś tragicznego. Lotem błyskawicy rozechodzą się niebawem budząca grozę wieść, że w mieszkaniu ich leżą dwa trupy. Jesteśmy jedni z pierwszych, którzy zjawiają się na miejscu zbrodni.

W mieszkaniu Hoffmannów.

Wehodzimy do mrocznego przedpokoju, zawałonego różnymi gratami. Tuż u wejścia zagrada drogę leżący nawznak trup mężczyzny. To zwłoki właściciela mieszkania, 43-letniego Jana Hoffmanna. Wehodzimy do niewielkiej kuchenki. Tu równie przerażający widok zatrzymuje nas na progu. Na posadzce, na środku kuchni leżą zwłoki kobiety. To żona Hoffmanna, 36-letnia Władysława. Obok leży ciężko ranna sublokatorka Marja Antoniewiczowa. Odrzućmy się pytanie: kto strzelał, dlaczego zabitymi są właściciele mieszkania, a raniona ich sublokatorka?

Niebawem zjawiają się na miejscu zbrodni władze policyjne z naczelnikiem wydziału śledczego, komisarzem Nowakowskim na czele. Dowiadujemy się szczegółów mroźnej krew w żyłach

6 STRZAŁÓW

czkowany i niezwykle podniecony. Coś widocznie już uknuł nieodwołalnego, gdyż zagroził żonie, że jeśli nie wróci do niego zpowrotem, zastrzeli ją i jej gospodarzy. Nikt wtedy nie przypuszczał, że groźba jego w ciągu 48 godzin zamieni się w straszny czyn.

Dzień zbrodni.

We środę Antoniewicz swój zbrodniczy plan zrealizował. Otworzyłszy sam drzwi wejściowe wytrychem, wsunął się cicho do kuchni, dokąd zwabił go głos żony rozmawiającej z Hoffmannową. Oprócz wspomnianych dwóch kobiet znajdowało się jeszcze w kuchni czworo dzieci Hoffmannów w wieku od 7 do 13 lat. Najmłodsze z nich 7-letnia Marysia spała już w swoim łóżeczku. Antoniewicz, wszedłszy od kuchni, zaczął od razu strzelać. Pierwsze dwa strzały były śmiertelne. Ugodziły one w usta i głowę Hoffmannową, kładąc ją trupem na miejscu na oczach śmiertelnie przerażonych dzieci. Gdy padły strzały, dzieci zaczęły przeraźliwie krzyczeć, kryjąc się, gdzie i jak które mogło. Z kolei morderca opanowany jakimś dzikim szałem, skierował broń ku swej żonie, która widząc padającą Hoffmannową, usiłowała przedostać się z kuchni do swego pokoju. W tym momencie znalazł się za nią jeden z sąsiadów, 21-letni Garczyk, który nie tracąc przytomności umysłu, z narażeniem własnego życia podbił rękę mordercy, tak, że strzały straciły już swój kierunek. Nie były śmiertelne. Jedna kula utkwiała w głowie Antoniewiczowej, druga ugrzęzła w piersiach. Zato dwa następne strzały, które padły z ręki Antoniewicza, były znów posiewem śmierci. U drzwi wejściowych zastąpił drogę mordercy właściciel mieszkania, Hoffmann, który zorjentowawszy się w sytuacji, chciał Antoniewicza wypchnąć za drzwi wehadowe. Nie przypuszczał jednakże nieszczęśliwy ojciec sześciorga dzieci, że u tych drzwi wejściowych zaczęła się już śmierć. Dwa celne strzały w serce i Hoffmann osunął się martwy na ziemię. Po dokonaniu zbrodni, nie zatrzymany przez nikogo, Antoniewicz opuścił mieszkanie i bocznym wyjściem wyszedł najspokojniej na ulicę. Wrócił do swego mieszkania przy ul. Łąkowej 16, gdzie siostrze opowiedział o dokonanej zbrodni. Jej namowy wpłynęły na zbrodniarza, że jeszcze tego samego wieczora oddał się sam w ręce sprawiedliwości.

Wizja lokalna.

Nazajutrz przedpołudniem na miejscu zbrodni odbyła się wizja lokalna z udziałem władz śledczych i prokuratorskich. Obecni byli na niej: prok. sądu okr.

Damm, sędzia śledczy Szware i aspirant Tołwiński, zastępca kierownika wydz. śledcz. na m. Poznań. Zbrodniarza zakutego w kaj-

Auto policyjne, w którym podczas wizji lokalnej przewieziono na miejsce czynu Stanisława Antoniewicza.

WSZYSTKIE ZDJ. „T. DETEKTYW”.

potwornej zbrodni, ofiarą której — jak się zaraz okazuje — padło dwoje niewinnych ludzi. W tem właśnie tkwi przejmujący tragizm strzałów na Wierzbiciej. Dowiadujemy się również natychmiast, kim jest morderca, gdyż ta okoliczność została niezbiecie na samym początku ustalona. W niespełna godzinę po śmiertelnych strzałach policja zaczęła energiczny pościg. Morderca jednakże zaoszczędził trudów władzom bezpieczeństwa, gdyż sam o godzinie 22-giej tegoż dnia zgłosił się w najbliższym komisariacie P. P., oddając się w ręce sprawiedliwości.

Antoniewicz.

Sprawcą strzałów okazał się 32-letni Stanisław Antoniewicz, bezrobotny szofer. Jedną z ofiar, ciężko ranna Antoniewiczowa — to jego żona. Antoniewiczowie od dłuższego czasu nie żyli z sobą. Antoniewiczowa odeszła od męża, ponieważ pewne jego zbroczenia czyniły życie małżeńskie niemożliwym. Antoniewiczowa wyjechała na jakiś czas do Łodzi, jednakże mąż ją tam odszukał i kazal wracać do Poznania. Wróciwszy do Poznania, Antoniewiczowa zamieszkiwała w ciągu 6-ciu miesięcy jako sublokatorka Hoffmannów, zarabiając na życie krawieczyzną. Antoniewicz, który od chwili rozjęcia się z żoną ustawicznie prześladował ją swoją zazdrością, po długich poszukiwaniach dowiedział się o ostatnim miejscu zamieszkania swej żony. Odtąd zaczął prześladować już nie tylko żonę, ale i Hoffmannów. Groził im w listach, że ich wszystkich powstrzele, że przetrzymają jego żonę w swym mieszkaniu i ułatwią jej schadzki z mężczyznami, o co w pierwszym rzędzie swą żonę posadzał. Ostatni raz zjawiał się Antoniewicz w mieszkaniu Hoffmannów na dwa dni przed straszną zbrodnią. Był rozgorą-



U góry: Sześciorgo osieroconych dzieci śp. Hoffmannów, w otoczeniu rodziny, w środku matka śp. Hoffmanna, obok na prawo jego siostra. — Na lewo: Stanisław Antoniewicz odprowadzany po wizji lokalnej do karetki policyjnej.

dany przywieziono samochodem policyjnym pod silną eskortą. Wizja trwała od g. 10 rano do 14 popołudniu. Morderca zeznał spokojnie i zupełnie opanowany psychicznie. Widać było, że zdaje sobie sprawę z każdego zadawanego mu pytania i każdej dawanej odpowiedzi. Niektóre szczegóły zbrodni starał się przedstawić w świetle możliwie dla siebie najkorzystniejszym. Wkońcu oświadczył, że nie wie, co się stało i nie wie, czy strzelał. Na pytanie prokuratora: „przecież są

trupcy" — odpowiada Antoniewicz: „jeżeli są trupy, to chyba musiałem strzelać”. Narzędzia śmiertelności, którym Antoniewicz pozbawił życia Hoffmannów nie odnaleziono.

Po wizji zbrodniarz został przewieziony do więzienia karnego przy ul. Młyńskiej, gdzie dowie się w najbliższych dniach, co go czeka: sąd doraźny — czy postępowanie zwykłe? Decyzja powzięta zostanie przez władze prokuratorskie dopiero po wydaniu opinii biegłych — psychiatrów, którzy badają obecnie stan umysłowy Antoniewicza.

T. S-i.

MITKA KUŹMUK LEŚNY ZBOJ.

(Dokończenie ze str. 9-ej).

Był piękny wieczór letni, od łąk płynęły białe tumany mgieł. Czekalem na zwierzyne. I wyszła... ale taka, jakiej najmniej się spodziewać mogłem i chciałem.

Z krzaków wyszedł na mnie Mitka Kuźmuk z wycelowanym Coltem.

O użyciu broni nie mogło być mowy, gdyż na każdy podejrzaną gest Kuźmuk odpowiedziałby strzałem.

Czułem się strasznie głupio, czekając co dalej będzie. Podeszedł bliżej: znać, że mnie poznał, bo uśmiechnął się i powiedział:

— A, a... a to pan?

Schowal broń do kieszeni.

— Jak się masz Mitka? Chciałeś do mnie strzelać?

— I... nie wiedziałem, kto siedzi.

Usiadł koło mnie, obejrzał broń myśliwską. Chudy był, wyniszczony, na nieogolonej brodzie rosła szczecina.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się...

— Ot i pan się postarzał... a nie chciał mnie pan brać wtedy do ulanów. Szkoda... a?

— A tak, szkoda...

— A w Wolczanach co słychać?

— No nie, stary hrabia umarł.

— Wiem, szkoda go, dobry pan był... jak ojciec.

— Ładnieś mu podziękował Mitka...

— Daj pan spokój, ot, taka dola moja parszywa. Wiadę tak sądzono było...

— A bo ja wiem? Do ludzi pójdę, to mnie pod sąd dadzą i jak psa powieszają... A tu jak zwierzę żyje... Od żydek po drogach grosze łuskam i zwierzyne sprzedaję.

— Z moich lasów?...

— Las pański, a zwierzyne to i pan tak nie hodujesz... Boża ona sama rośnie, a jak kto ją zabije to i jego.

— A na dwory nie napadasz?

— Nie bój się pan, na pański nie napadnę...

— A czemuż taka łaska?

— Łaska nie łaska... Ech!... Sławny, ładny z pana ulan był kiedyś...

— Dziękuję...

— No na mnie pora... Daj pan trochę naboju i papierosów kilka... palić chce się...

— Weź sobie...

Zabrał naboje i papierosy do kieszeni i na odchodnym dodał:

— Już ja w pańskich lasach nigdy polować nie będę.

— Dziękuję i za to...

— A policji pan nie mów, żeś mnie widział. A jak pan Ole spotka kiedy to powiedz pan, że to dla...

— Szkoda ciebie, Mitka.

— At! naplewał!... A nie wiesz pan... z innymi ona chodzi?...

— Nie, nie wiem.

— Bo ona... jedyna dla mnie... ptaszka kochana...

Uklonił się czapką wyszarżaną i zginał w mrozu. Ale wkrótce zakończył żywot swój zbrojecki.

Gontarzówna, dowiedziawszy się, że na wydanie Kuźmuka policja 300 złotych wynajęła, zgłosiła się na policję, donosząc, że dnia tego a tego w młynie schadzkę z nim mieć będzie.

I przyszedł Mitka do starego opuszczonego młyna poza wsią, nad ruczajem, by Oli swojej trochę pieniędzy zrabowanych oddać. I tu go policja otoczyła. Ale nie poddał się. Zbyt sławę swoją zbrojecką cenil.

Wszystkie naboje wystrzelał do oblegających, a ostatnim sam życie sobie odebrał.

A Ola nagrodę podjęła i dołączyła ją do tych pieniędzy, które jej Mitka znosił, a które ona w starych ulach chowała... A potem za męża wyszła bogato... i nawet ziemi sobie za Mitkowe pieniądze dokupiła.

Tak żywot zakończył swój zbrojecki Mitka Kuźmuk postrach kniei.

Feliks Dangel.

Sprawa R. Hyka.

(Dokończenie ze str. 11-ej).

Pieniądze złożone na książeczce znalazł Hyk na pocztę w Dobromilu, złożył je na PKO, a obecnie boi się podjąć, by się nie zdradzić i dlatego radby książeczkę, choćby za dwadzieścia pięć procent jej wartości spieniężyć.

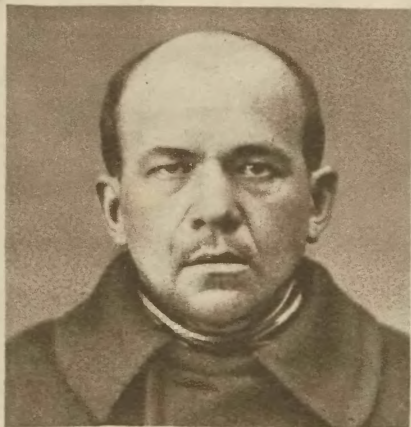
Rozmowa się urywa, jest późno, sąsiedzi udają się na spoczynek.

Od rozmowy tej mija może tydzień, może dwa najwyżej. Pewnego popołudnia zjawia się w mieszkaniu pp. Pantofów Franciszek Roemer. Jest strasznie wzburzony, nie może się opanować, woła p. Pantofową, by z nim poszła do alkowy, gdzie ich nikt nie może podsłuchać i opowiada jej tam przez przeszło godzinę jakieś tajemnice...

Niemale było zdumienie adwokata dra Frima, obrońcy Szymańskiego, kiedy w dwa lata po jego zasądzeniu zjawiała się w kancelarii p. Hartmannowa. Zdumienie wzrosło jeszcze z chwilą, kiedy p. Pantofowa zakomunikowała adwokatowi, że ma dlań rewelacje, które mogą spowodować zwolnienie odsiadujących już od dwu lat karę Szymańskiego i Gołębiowskiego.

Ze rewelacje p. Pantofowej wywarły na drze Frimie olbrzymie wrażenie, świadczy o tem fakt, iż natychmiast po ukończeniu tej rozmowy, odsunawszy na bok wszelkie inne sprawy, podyktował swej mundancie sensacyjne doniesienie do prokuratury. W doniesieniu tem oskarżył adw. Frim Romana Hyka, 18-letniego syna są-

Poszukujemy! Ścigamy!



Powyżej zamieszczamy fotografie (od lewej) Andrzeja Kowalskiego, Romana Milczarka, Zygmunta Wiśniewskiego. — Wymienieni są poszukiwani przez policję w związku z włamaniem do kasy Dworca towarowego



Trumna ze zwłokami Leona Kuberta.

Grudziądz (od naszego koresp.).

Spokojny naogół Grudziądz, nie żył nigdy pod wrażeniem takiej okrutnej zbrodni, jaką jest niewątpliwie morderstwo, popełnione na osobie 15-letniego ucznia Leona Kuberta. Zbrodnia ta przypomina żywo bestjałskie czyny upiory z Düsseldorfu, z tą jednak różnicą, że ma się tu doczynienia z młodym 21-letnim osobnikiem, a już tak bardzo zdegenerowanym. Nie też dziwnego, że koła lekarskie Grudziądza mają przed sobą niezwykle ciężkie zadanie, by stwierdzić, czy istotnie Roman Murawski jest typem wybitnie zdegenerowanym, czy też morderstwa dopuścił się poprostu z premedytacją, w obawie, że wcześniej czy później jego stosunek do Kuberta zostanie ujawniony.

Ze względu jednak na zaszłą potrzebę dokładnego zbadania stanu psychicznego zbrodniarza, wynik ekspertyzy specjalistów-psychiatrów, będzie mógł być wiadomym dopiero za kilka dni, a z tą chwilą rozstrzygnięty zostanie problem, czy Murawskiego postawić przed sądem doraźnym, czy też odpowiadać on będzie przed zwykłą izbą karną.

Obecnie czynniki policyjne zakończyły całkowicie w tej ponurej sprawie śledztwo, które postać zwyrodnialca okazało we właściwym zwierciadle. Murawski z zawodu ślusarz, w czasach ostatnich pozostawał bez pracy. Nie wpłynęło to jednak na to, by nie miał pieniędzy. Wprost przeciwnie, a pieniądze czerpał od

siadów Hartmannowej o mord na śp. Hartmannie.

Natychmiast po otrzymaniu tego doniesienia przekazała je prokuratura przemyska policji w Dobromilu dla przesłuchania Roemera. Już następnego dnia wpłynęło doniesienie to do PP. w Dobromilu. Komendant posterunku wezwał do siebie Hyka i przedstawił mu treść doniesienia. Hyk wyparł się oczywiście wszystkiego. Kiedy jednak komendant posterunku opowiedział mu, że popołudniu ma być w tej sprawie przesłuchany Roemer, którego zeznania mogą spowodować stryczek dla Hyka, ten uknął plan iście szatański. Mianowicie wtajemniczył w całą sprawę swego przyjaciela przybyłego właśnie ze Lwowa, niejakiego Michalika. Michalik udał się do domu Roemera, przedstawił się jako wywiadowca PP., delegowany specjalnie dla przeprowadzenia dochodzeń w tej sprawie do Dobromila z urzędu śledczego we Lwowie i wezwał go do udania się w pole, gdzie on Michalik ma Roemera przesłuchać, nie chce bowiem przesłuchiwać go w miesie, by zachować całą sprawę w największej tajemnicy. Roemer udał się z Michalikiem w pole. Po drodze wypadł w pewnym momencie z za krzaków przydrożnych Roman Hyk i z okrzykiem: „Nie będzieś draniu przeciw mnie świadczył”, oddał doń dwa strzały. Po oddaniu strzałów obaj chłopcy zbiegli. Jednak Roemer, który jeszcze przez kilka godzin po napadzie żył, złożył wobec sędziego Wojałkowskiego olbrzymie zeznania, w których wskazał na Hyka, jako sprawcę napadu i wyjaśnił rolę Michalika w tej sprawie.

Tym razem, dzięki zeznaniom ofiary sprawy zostali rychło ujęci. Skonfrontowano ich natychmiast z konającym Roemerem, który ich rozpoznał.

Prowadzone na polecenie Sądu Najwyższego na skutek podania o wznowienie sprawy Szymańskiego i Gołębiowskiego dochodzenia w kierunku ustalenia winy Romana Hyka w zbrodni na śp. Hartmannie nie dały rezultatu pozytywnego, toteż Hyk wraz z Michalikiem zasiada w najbliższą środę, 28 bm. na ławie oskarżonych pod zarzutem zamordowania jedynie ś. p. Roemera.

L. T.

w Warszawie. Posiadający informacje zechcą zgłosić się bezpośrednio lub telefonicznie do Wydziału Śledczego w Warszawie. Za pomoc w ujęciu poszukiwanych złoczyńców wyznaczona została nagroda pieniężna.

SPRAWA MURAWSKIEGO.

swej rodziny. Tracił je na wódkę, papierosy i cukierki. Najbardziej zaufaną jego osobą był właśnie ów Leon Kubert, uczeń IV-ej klasy gimnazjum klasycznego. Nię sympatji łączyła ich już od roku, przyczem Kubert wykorzystywał skłonności i namiętności swego kolegi, jak tylko mógł.

Jeśli chodzi o osobę Murawskiego, to jak zeznał on w śledztwie, z myślą zamordowania Kuberta nosił się już oddawna. Nie miał jednak odpowiedniej okazji do zgłoszenia go. Najdogodniejszą chwilą dla urzeczywistnienia swego potwornego zamiaru, był moment, gdy obaj młodzieńcy znaleźli się późnym wieczorem w ogródkach działkowych przy ul. Chelmińskiej, Murawski widząc, że jego towarzysz zajęty jest szukaniem jakiegoś zgubionego przedmiotu, porwał stojącą w altance łopate, a następnie ostrzem żelaza, zadał nią cios w tylną część głowy Kuberta, który, jak następnego dnia stwierdziła sekcja zwłok, spowodował natychmiastową śmierć. Sadystryczny morderca początkowo nosił się z myślą zakopania zwłok swej ofiary w altance. Zamiaru jednak zaniechał. Obmywszy zbrzydzący krwią płaszcz, udał się na dworzec kolejowy i pierwszym pociągiem wyjechał do swych krewnych do Chelma.

Ciekawą ilustracją jego duszy jest fakt, że podobno po dokonaniu bestjałskiego czynu, nosił się z zamiarem odebrania sobie życia. Zamiary te wypowiada morderca w liście, wysłanym do rodziców śp. Leona Kuberta.

W czasie szczegółowej rewizji znaleziono przy aresztowanym ciekawe pamiętniki. Mianowicie prowadził on „kronikę dnia”, notując nietylko swie wydatki na „przyjaciół”, lecz także skrupulatnie notował wszystkie perypetje z każdą swą ofiarą. Na skutek tych notatek, policja skompromitowała cały szereg młodych ludzi i to przeważnie synów popularnych osobistości grudziądzkich, którzy obcowali z Murawskim. Po szczegółowej sekcji zwłok, dokonanej w szpitalu miejskim, w ub. wtorek odbył się pogrzeb ofiary bestjałskiego mordu na cmentarz parafialny. Wbrew wszelkim przypuszczeniom, miał on przebieg niezwykle uroczysty. Ze względu na popularną osobę ojca zamordowanego, który jest asesorem kolejowym w Grudziądzu, udział w pogrzebie wzięli prócz kolegów zmarłego, liczne związki kolejarzy oraz niezliczone tłumy publiczności. Potworny wampir w chwili obecnej znajduje się w więzieniu karno-śledczym przy ul. Budkiewicza. Przebywa w odosobnionej celi. Zachowuje zupełny spokój i oczekuje wyniku rozprawy sądowej.

K. G.

Wielka Bezpłatna Premja!!!

Ceny zniżone o 70%.

Uwzględniając życzenia licznej naszej klienteli, przedłużyliśmy do dnia 3 marca 1934 r. termin, do którego należy nabyć u nas jeden z niżej wyszczególnionych kompletów, aby skorzystać z premij, przeznaczonych do podziału na luty b. r. Premie te są następujące: 2 płaszcze damskie z welnianej żorżety z futrzanym kołnierzem, 2 palta męskie welurowe, 3 kłimiy w najmodniejsze desenie perskie, 3 sztuki płótna białego w dobrym gatunku i 2 koldry watawe.

Chcąc każdemu w obecnych ciężkich warunkach umożliwić nabycie tych kompletów, obniżyliśmy ceny do poziomu nigdy dotąd nienotowanego, a mianowicie:

Nr. 1. — TYLKO ZA ZŁ. 11.35.

Wysyłamy: 3 metry materiału na ubranie męskie lub na palto damskie pełnej podwójnej szerokości 140 cm., 1 koszulę męską lub 1 koszulę damską strojną haftowaną we wszystkich rozmiarach i kolorach, 1 parę kaletonów męskich w dobrym gatunku z satynowym wykończeniem lub 1 parę reform damskich jedwabnych w różnych kolorach, 1 parę eleganckich skarpetek, 2 męskie chusteczki do nosa z kolorowym szlakiem lub damskie batystowe, 1 szal męski lub damski, 1 krawat jedwabny najmodniejszy i 1 pasek zamszowy męski do spodni z ładną niklową klamrą.

Nr. 2. — TYLKO ZA ZŁ. 11.75

Wysyłamy: 1 metry materiału t. zw. „Lizetta” na elegancką suknię damską, 1 chustkę zimową w ładne kolorowe kraty jasne lub ciemne, 1 pullover swetrowy damski w ładne kolorowe desenie (ostatni krzyk mody), 1 elegancką welnianą apaszkę damską najmodniejszą, 1 koszulę damską madapolamową strojną-haftowaną we wszystkich rozmiarach i kolorach, 1 parę reform damskich, 1 parę pończoch jedwabnych i 3 chusteczki batystowe z ładnym ażurkiem.

Wymienione komplety wysyłamy za zaliczeniem pocztowym. Placi się przy odbiorze towaru na pocztę, BEZ RYZYKA. Jeżeli towar się nie podoba, przyjmujemy z powrotem i pieniądze NATYCHMIAST zwracamy.

Zamówienia należy adresować tylko do firmy:

„ŁÓDZKO-BIELSKA TKANINA”, ŁÓDŹ, ul. Św. Andrzeja Nr. 7.41.

UWAGA: Dnia 6 marca 1934 r. ogłosimy listę naszych klientów, którzy otrzymali bezpłatnie premję. Wykorzystajcie więc tę wyjątkową okazję.

MORDERSTWO W POKOJU Nr. 700.

POWIEŚĆ KRYMINALNA
NAPISAŁ H. BRADLEY.

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
HELENY HELLERÓWNY.

18j

Wzruszyła niepewnie ramionami.
— I jak on ma to zareagował?
— Ach, on... Śmiał się tylko i powiedział, że każe ten list oprawić w ramki, gdyż podoba mu się ta dzikość. Wobec tego nie można się już było gniewać. Wszak pan wie, jak to było, gdy on się szczerze śmiał.
— Kiedy to było?
— Mniej więcej przed miesiącem. A może to już sześć tygodni? Pamiętam dokładnie, że było to w piątek... W międzyczasie u mnie też wiele się zmieniło, lecz to obojętne... muszę teraz dostać ten list zpowrotem.
— Czy pani jest pewna, że go schował?
— Naturalnie, dopiero parę dni temu żartował sobie na ten temat. Mówił, że jego szafa zapali się jeszcze od czupurnej namiętności w tym liście. Tak, tak, ma go jeszcze napewno. Czy mogę poszukać?
— Ach tak, więc pani przypuszcza, że ten list mógłby skierować na panią podejrzenia?
Zagryzła wargi i spojrzała mu prosto w oczy.
— W każdym razie nie sądzę, że uważano by mnie za jego najlepszą przyjaciółkę.
— Ale nikomu nie przyszłoby chyba na myśl, by pani tak dalece straciła głowę z powodu nieuzyskanej roli, aby pójść za nim do hotelu i go prosto zastrzelić? — badał Ryder.
Zaśmiała się ochryple.
— Nie, z powodu roli nie. Ale w liście nie było nic o roli. Wymyślałam mu tylko dlatego, że mi zdradził. Nie wdawałam się wcale w szczegóły. A zresztą można to sobie tłumaczyć, jak się chce, nie?
— Hm, a gdzie pani była wczorajszej nocy?
— To nikogo nie nie obchodzi — wybuchnęła.
— Taka odpowiedź nie wywarłaby szczególnie dobrego wrażenia w prezydium policji.
— No, tak — zaczęła pojednawczo — jeśli się tak opryskliwie kogoś pyta... Byłam u znajomych. I nagle wyznała z uporem.
— Byłam nawet u bardzo dobrego znajomego. A potem poszliśmy do nocnej knajpy — do Jig-saw, o ile pan zna ten lokal — gdzie byliśmy mniej więcej od pół do dziesiątej do pierwszej. Stamtąd poszłam do domu, do dziewcząt, z którymi razem mieszkam.
— Nazwiska i adres? — Ryder trzymał już pióro w ręce.
Wymieniła kilka nazwisk i adres znanego pensjonatu dla artystów.
— A kto był ten pan, z którym pani była?
— Mój mąż — wybuchnęła dumnie Topsy Minn. Pobraliśmy się trzy tygodnie temu. Ukrywaliśmy się z tem jednak, bo gdyby jego partnerka — musi pan wiedzieć, że on jest tancerzem — się o tem dowiedziała, zepsułaby mu cały numer. Leci bowiem strasznie na niego... to pewne. Mąż mój występuje w rewji. Natychmiast po wygaśnięciu jej kontraktu, zamieszkamy razem. Do tego jednak czasu musimy to zachować w tajemnicy. Teraz domyśla się pan już może, dlaczego muszę koniecznie odzyskać ten list. Jeśli on się dostanie do gazet, to ten chłopak powyrzywa mi nogi. Muszę mieć ten list...
— Jak się nazywa mąż pani?
— Raymond La Salle — odparła z naiwną dumą. — A numer w rewji nazywa się „La Salle & Leser”. Idzie w Palace.
— I wczorajszy wieczór spędziła pani z La Sallem?
— Oczywiście.
— Do pierwszej?
— Czyż to nie obojętne? — skrzywiła się z uporem. — Jeśli pan chce dokładnie wiedzieć, to był u mnie całą noc. Mam przecie swój własny pokój. I nikt nie może mieć nie przeciwko temu, skoro jesteśmy małżeństwem.
— A cóż inne dziewczęta na to? Wszak wspominała pani, że pragnie zachować to małżeństwo w tajemnicy?
— Ach, one — odparła Topsy Minn obojętnie. — Im wszystko jedno, czy pobraliśmy się, czy nie. One nie są takie uważające. Zresztą ja też nieraz przymykałam oko.
I złośliwie dodała:
— Może się pan zresztą zapytać, jeśli pan nie wierzy. Może pan robić, co się panu żywnie podoba, chcę tylko dostać mój list. Jeśli będę wnieszana w tę sprawę...
Jej twarzyczka zatroskała się szczerze. W każdym razie Ryderowi tak się wydawało.
Jak dotąd, odgrywałam śmieszna rolę rycerza bez trwogi i skazy, którego zadaniem jest chronić



zagrożone kobiety przed bezlitosnymi badaniami urzędu śledczego — myślał z ironją. — Najpierw była to Wirginja Channing, a teraz ta mała Topsy Minn.

Otworzył szafę. Jak zwykle u Fila panował tam nieporządek... widać było rachunki, listy, zaproszenia i telegramy.

— Mój list był zielony. — Topsy Minn stała tuż obok niego, wychylona jak węszący pies gończy. — To ten — zawołała po chwili.

Ryder odszedł na bok, by przeczytać spokojnie list.

Topsy Minn istotnie niczem się nie krepowała. List obfitywał w wyzwiska i niejasne pogróżki. Złożył starannie zielony arkusik zpowrotem.

— Bardzo mi przykro, lecz nie mogę zwrócić tego listu — zaczął, gdy Topsy Minn skoczyła nań jak drapieżna kotka i sięgnęła po list.

Zatoczył się i z trudem odzyskał po tem natarciu równowagę. Topsy Minn czepiła się go mocno i nie dawała się odciąć. Lewą ręką odsunął list, by nie mogła go dosięgnąć, a prawą musiał chwycić ją za gardło i silnie przycisnąć, by wogóle móc swobodnie oddechnąć.

Zachłysnęła się i cofnęła, chwytając się za boleące gardło.

— To mój list! — krzyczała przeraźliwie, roz-wścieklona.

— To jest list Darrowa, a obecnie — materiał dowodowy. — Ryder schował list do kieszeni i nie spuszczał oczu z młodej osóbką. — Zasługuje pani doprawdy na to, bym podał tę całą historję do wieczornych gazet.

— Byłoby to podle z pana strony... tak, podle... Jestem niewinna. A mój mąż... musiałby, biedak, wszystko odpokutować, jakkolwiek nie ma z tą głupią historją nic wspólnego.

— A jednak był zazdrosny o Darrowa?

Uspokoiła się już zupełnie. Zaśmiała się lobu-zersko i zaczerwieniwszy się zawołała:

— Jeszcze jak! Ale on jest nawet zazdrosny o każde jajo, które jem! Ach! przerażila się. — Podrapalam pana? Ma pan krew na ręce... Och, bardzo mi przykro, doprawdy... Słowo daję! Ale tak bywa, jak człowieka bieda przyćmi.

— Proszę teraz uważać — powiedział pobłaźli-wie Ryder. — Nie mogę pani oddać tego listu, gdyż jest to ważny materiał dowodowy... a przy-najmniej mógłby być. Nie chcę pani jednak robić niepotrzebnych trudności. Mogę zatrzymać jakiś czas ten list w nadziei, że w międzyczasie znajdą się jakieś istotnie ważne ślady, tak, że ten świ-stek nie będzie przedstawiał żadnego znaczenia. W pani interesie będzie zatem pomagać w tem policji w miarę możliwości. Wspomniła pani przed chwilą, że wie pani różne rzeczy o Darrowie. Pro-szę się jaśniej wytłumaczyć.

— Ach, to było przeważnie tylko takie gada-nie. Tak wiele wcale nie wiem. Tylko... Cilly Fane dostawała od niego ciągle pieniądze. Pokazywała nam też raz szmaragd, który jej podarował. Opo-wiadała nam, że to za jej „pracę w teatrze”. O co się założymy, że go dostała za zupełnie inną „pracę”? Śmieszne w tem całem jest tylko to, że mu na niej wcale nie nie zależało, co wiem do-kładnie.

— A jakie były jej uczucia w stosunku do niego?

— Lepiej niech pan nie pyta — powiedziała po-gardliwie mała.

— Czy kochała go?

— Ależ skądże! Cilly Fane kocha tylko jednego człowieka, a mianowicie Cilly Fane. Mimo to by-la o Darrowa zazdrosna.

— Dostatecznie, aby chwycić za rewolwer?

— Bynajmniej, taki tełór! Raczej otrulaby kogoś.

— Więc kto, zdaniem pani mógł to uczynić?

— Skądże ja to mogę wiedzieć? Taki człowiek jak Darrow, musiał wcześniej czy później wpaść. Wszystkie kobiety szalały przecie za nim... prócz mnie, oczywiście — dodała ostro. — No i teraz do-stało mu się.

— No, no... Proszę się nie przerażać, jeśli dziś zjawi się ktoś w teatrze i zażąda pani odcisków palców. Wszystkie kobiety, które znały dobrze Darrowa, będą się musiały poddać tej niemiłej procedurze. A list pani zatrzymam tak długo, aż zjawi się jakiś ślad.

Rzuciła mu przeciągle badawcze spojrzenie z pod spuszczonego powieku.

— Na to niema rady — powiedziała żartobli-wie. — Myślałam, że pan jest takim dobrym wu-jaszkim, który zwraca niemądrym dziewczynkom ich głupie liściki, ale jeśli tak nie jest, to niema-dra dziewczynka nie nie poradzi. (C. d. n.)

HUMOR

i rozrywki umysłowe

Ostatni krzyk mody.



— Przecież my się już w ogóle nie możemy pokazać w przyzwoitym towarzystwie; ty do tej pory nie popeliłeś żadnej malwersacji!!!

Spóźnił się.



— Chciałbym zobaczyć tego psa, który ma być tak wspaniałym stróżem!..
— Niestety skradziono mi go właśnie tej nocy!..

NIEKARANY.

(L.) — Więc jak, czy oskarżony winien, albo nie?
— Nie winienem.
— Był pan już kiedy karany?
— Nie. To dopiero pierwszy wypadek, że mnie przychwycono.

ZA DŁUGO.

(L.) Sędzia: — Co świadek może jeszcze więcej powiedzieć?
Świadek: — Nic, jak tylko to, że wytrzymałem tu przeszło pięć godzin i teraz głodny jestem, jak pies.

PRZY ŚLEDZTWIE.

(L.) Jak się nazywasz?
— Taksamo, jak mój ojciec.
— Od jak dawna tu jesteś?
— Od chwili, gdy mnie zamknęto.
— A dlaczego cię uwięziono?
— Ponieważ ten, co mnie ścigał, miał lepsze odemnie nogi.
— A wiesz, że ci grozi śmierć?
— A już, przecież każdy człowiek wie o tem.
— A gdyby cię tak wypuszczono z więzienia, co byś począł?
— Ho, ho, już bym wiedział co! Tylko tego nie wiem, co by pan sędzia począł bezemnie?

Rozwiązanie zadania detektywicznego Nr. 66.

W numerze 2 (rok IV) naszego tygodnika zamieściliśmy pierwsze zadanie detektywiczne, które zapoznało Czytelników z metodą pracy sędziego śledczego, przesłuchującego podejrzanego o dokonanie jakiegoś przestępstwa. W danym wypadku chodziło o kradzież, popełnioną 22-go marca 1933 roku w Gdyni, na osobie powracającego z Ameryki reemigranta. Rozwiązujący to zadanie mieli wykazać ilość błędów i sprzeczności zachodzące w zeznaniach podejrzanego.

Pierwsza nagroda Zł. 30.— została przyznana p. Janinie Saratowicz, zam. Tarnów, Al. Piaskowa 61, — zaś druga w postaci książki poczytnego autora p. Wojciechowi Kwaśnemu, zam. Dziedzice, Żebracz-Kolonja 435.

Rozwiązanie p. Saratowicz brzmi:

Podejrzanym podał w swych zeznaniach 9 kłamliwych odpowiedzi:

Ad 4) Nie mógł otrzymać obywatelstwa amerykańskiego, przebywając jako niepełnoletni w Stanach Zjednoczonych przez przeciąg lat 4 (przyjmujemy, że w roku 1892 wyjechał do Ameryki z ojcem lub matką).

Ad 5) Jeżeli miał być poprzednio w Europie, a więc przed rokiem 1896, to nie mógł wrócić w roku 1903.

Ad 6) Jeżeli uzyskał obywatelstwo amerykańskie w roku 1896, nie miał w ogóle obowiązku obsługiwanego w służbie wojskowej w Europie. Zresztą mając wówczas dopiero 18 lat, nie podpadał pod przepisy ustawy o służbie wojskowej.

Ad 7) Poznań pozostawał w tym czasie pod zaborem pruskim, więc ani jako Amerykanin, ani tem mniej jako urodzony w Tarnowie, a więc pod zaborem austriackim nie mógł tam odbywać służby wojskowej.

Ad 12) Na przejazd z Poznania do Gdańska nie trzeba było wówczas żadnych legitymacji ani paszportów, gdyż oba miasta znajdowały się pod rządami niemieckimi. Zaś polski dowód osobisty wogóle wówczas jeszcze nie istniał.

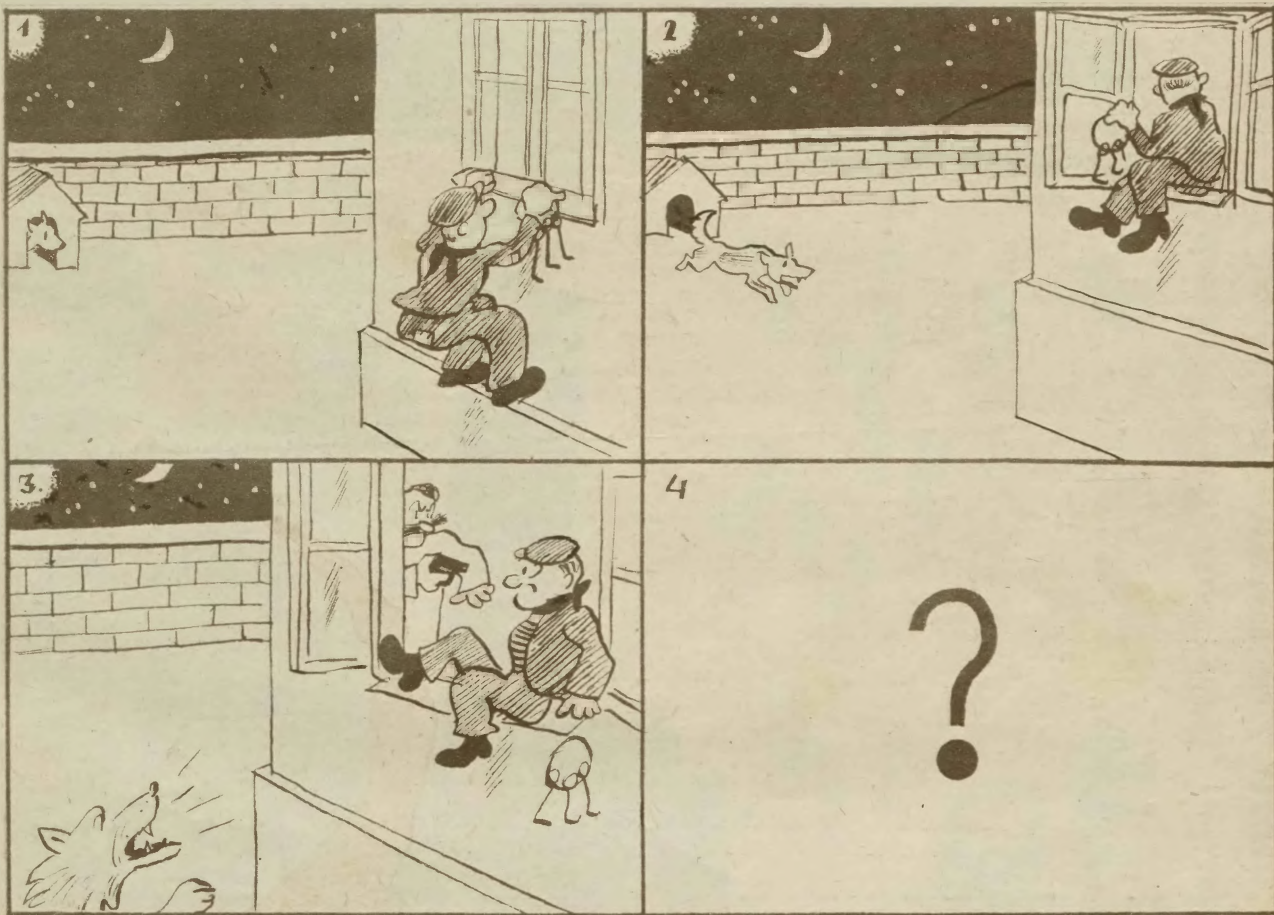
Ad 13) Nie mógł wrócić do Ameryki w roku 1907, gdyż poprzednio zeznał inaczej.

Ad 15) Nie posiadał wówczas już żony, gdyż rozwiódł się z nią w roku 1917.

Ad 17) Sędzia nie pytał go zupełnie o Gdynię.

Ad 20) W marcu nad Bałtykiem nikt się nie kąpie ani też nie chodzi po plaży w kostjumie kąpielowym.

ZADANIE RYSUNKOWE.



Zamieszczamy powyżej 3 fragmenty z wyprawy pewnego złodziejzaka, który niespodziewanie znalazł się w bardzo przykłej sytuacji. Otworzył okno pewnego mieszkania, spotkał się oko w oko z lufą wymierzonego doń browninga. Gdy zamierzał zbiec zpowrotem przez podwórze, spostrzegł, że i ta droga ucieczki była odcięta. Wierny pies stróż tej posesji zaczął go nie na żarty atakować.
— Co więc mógł uczynić złodziejzasek? — Oto pytanie, na które należy dać odpowiedź we formie rysunku, przedstawiającego czwarty epizod historyjki, a zarazem jej pomysłowy i dowcipny epilog.

Odpowiedzi należy nadsyłać do dnia 20 marca br. w osobnych kopertach z napisem „Zadanie rysunkowe“.

Z spośród trafnych rozwiązań redakcja wybierze dwa: Pierwsze zostanie nagrodzone kwotą zł. 30, zaś drugie zł. 15.



TAJEMNICA FAKIRÓW. Kto chce wywołać wielką sensację, wesóło spędzić czas, być mile widzianym w towarzystwie i mieć powodzenie zawsze i wszędzie, niech nabywa najlepszy w świecie katalog białej magii, w którym niesieją się dwa kursy wiedzy tajemnej, czyli 50 towarzyskich sztuk, oraz 100 rysunków. Wysłać pocztą za zł. 2. Adres: Prof. Jan Pracki, Warszawa, ul. Leszna 96

ADMINISTRACJA

REDAKCJA

PRENUMERATA

KRAKÓW, UL. WIEŁOPOLE L. 1 (PAŁAC PRASY)

TELEFONY: 150-60 do 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW 412.000

Wydawca:
Spółka Wydawnicza „KURIER”
Redaktor odpowiedzialny:
JAN STANKIEWICZ

KWARTALNA WYNOSI ZŁ. 3-50

Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego

OGŁOSZENIA: Strona dzieli się na 3 tamy à 80 mm. Cena za 1 mm w jednym tamie 70 gr. Drobne za słowo 15 gr. Nadesłanych artykułów nie zwraca się.



ANTONIOWICZ NA MIEJSCU CZYNU!

Zabójca Hoffmannów podczas wizji lokalnej na ul. Wierzbiciece w Poznaniu. — Szczegóły wewnątrz numeru.

Fot. „Tajny Detektyw”.